

Wojewódzka  
Biblioteka  
Publiczna  
w  
Poznaniu

Ks 6

0.30



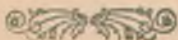
Alvord  
B.

**Ze wspomnień powstańca  
z roku 1863 64.**

**BARTEK NOWAK**

SPISZAŁ

· MARCEL P.-KUJAWA.



**W Poznaniu.**

Nakładem autora. Czcionkami W. Simona.  
1895.

Wydawnictwo  
Biblioteka Kuj  
Publiczna Bar  
w  
Poznaniu 2322

2322

---

NAKŁADEM AUTORA.

---



(Niniejsze wspomnienia, które na wielostronne życzenia publicznie wydaję, są obszerniejszem powtórzeniem sprawozdania, przesłanego na ręce Dr. A. Wołyńskiego, który wkrótce potem umarł.)

**Paproć**, w kwietniu 1892.

Do

**DRA. ARTURA WOŁYŃSKIEGO**,  
kustosza archiwum Rządu narodowego

we

Florencyi.

**Obywatelu !**

Przed kilku laty śp. Zbigniew Cha-  
dzyński nie dawał mi spokoju, upomina-

jąc się w imieniu wielce Szanownego Obywatela o pamiętnik Bartka Nowaka.

Uczynilem wówczas co mogłem. Porozumiałem się z Nowakiem, i już był gotowy pamiętnik, w którym wiernie opisał czynności swe w latach 1863—64, oraz układy z wybitnymi osobami powstania, celem wywołania między chłopami pospolitego ruszenia.

Niegodziwa ręka zniszczyła ten pamiętnik chłopu patrioty. Zgasił przedwcześnie Zbigniew i nie było więcej komu o sprawozdanie kołatać. Zresztą Nowak, pochylony starością, zakopał się gdzieś na zagrodzie, od starych przyjaciół zapomniany, a od młodszego pokolenia nie znany, więc mi było trudno, o miejscu jego pobytu coś pewnego się wydowiedzieć. Dopiero jesienią z. r. dał mi Dzik o nim wiadomość. Przesłałem mu pozdrowienie, zapraszając do znajomych, żeby pamiętnik, który zaginął, na nowo napisał.

Podobno starowina bardzo się ucieszył, że o nim jeszcze pamiętają, i za-

powiedział swoje na wiosnę przybycie do przyjaciół i krewnych po pruskiej stronie. Przyobiecał tu kilka dni spędzić, by uczynić, co w jego mocy i tyle pożądanym pamiętnik własnoręcznie spisać na nowo. Naraz otrzymuję smutną wieść, że Bartek Nowak nie żyje. Jeszcze czerstwy i krzepki na nogach, umarł prawie nagle w pierwszych dniach lutego. Własnoręczne jego sprawozdanie zatem przepadło. Umarł Nowak ciałem — lecz duch jego zostanie wiecznie między nami, tchnąc z pokolenia w pokolenie żywą wiarę w naszą nieśmiertelność narodową w coraz szerszych kołach ludu wieśniaczego, którego niebożczyk był prototypem. Pamięć o nim nie zginie, jak nie zginie Polska, o której odrodzeniu się do ostatniego tchu życia na chwilę nie zwątpił.

Byłem Nowakowi w chwilach jego patryotycznego uniesienia najbliższym towarzyszem, na mnie więc spada niejako obowiązek sprawozdania z jego zabiegów i czynnego udziału w

przygotowaniach do chłopskiego powstania w pamiętnych latach 1863 i 64. Trzymam się tylko faktów dobrze mi znanych.

Braterstwo i pozdrowienie

Marcel Kujawa.

Po kłeczewskiej porażce wałęsałem się z wielu innymi od komina do komina, objadając obywateli, niepokojoyony przez moskiewskie podjazdy. Przejeżdżając przez Dąbie na wyznaczoną kwaterę, już miałem z przededworu ruszyć dalej, w tem syn dziedzica, przyglądający mi się z ganku, poskoczył do mnie, wołając:

„Jak Bozia kocham, toś ty kochany kolego z Trzemeszna. Ojczulku! to mój i Bolesia szkolny towarzysz, o którym mi opowiadano, że już zginął pod Mieczownicą.“

Byłto Jaś, syn Jana Mittelstaedta, dziedzica Dąbia, o czem nie wiedziałem, że tu mieszkają, a młodszego odemnie panicza także nie poznałem od razu. Na prośby jego musiałem się zatrzymać. Stary pan Mittelstaedt przyjął mnie po ojcowsku, lecz szorstko.

— Lepiej byście byli książek pilnowali, rzekł zaraz na powitanie. Szkoda was, moje dzieci, i krwi waszej, którą na próżno przelewacie. Z tego powstania nic nie będzie — ono zaraz wza-

rodku zwichnięte, a złe naprawić bardzo trudno. Nikczemni opanowali ster Rządu tajnego i śmiały nazywać go narodowym. Ci zbrodniarze wari szubienicy za to samo, że w zbrojne oswobodzenie narodu nie wierząc, przybierają maskę obłudy patryotycznej i wdzierają się do władzy powstańczej na to jedynie, aby obudzonego ducha w narodzie tłumić i paraliżować siły zbrojne powstania, przez oglądanie się na obcą pomoc i przez rozkazy contra-rewolucyjne“.

Mówił w tym duchu jeszcze więcej, lecz wątku nie pamiętam w skutek przygnębienia umysłowego, jakie mnie na jego słowa opanowało. Stałem osłupiały. Widziałem przed sobą męża, którego zasługi i poświęcenie dla sprawy polskiej były mi znane. Chociaż z bólem w sercu uwierzyłem mu.

Zdało mi się, jakoby jakaś ciemna zasłona pokryła mi oczy. Znać zauważył moje rozczarowanie stary patryota, zakończył bowiem łagodnie:

„Tak, tak! moje dziecko! Największe poświęcenie, duch najwznioślejszy, siły najpotężniejsze w niwecz się obróćą, jeżeli celu i środków wprost doniego wiodących nieświadome, dadzą się podłą kierować ręką. — Gdzie nie ma innej rady — namyślać się długo nie warto. Przybieraj się w inne rzeczy i chodź ze mną. Przedstawię Cię mym urzędnikom, jako elewa gospodarczego, który był oczekiwany, lecz mi doniósł,

że nie przybędzie — zastąpisz jego miejsce. Jest tu was więcej we fabryce i po folwarkach, lecz każdy musi pełnić jakiś obowiązek do czasu. Chwilowo na wiele mil w okrag zar powstania przygasł, trzeba odczekać, co się stanie dalej, a tymczasem kryj się każdy gdzie mozesz — to moja rada“.

— Usłuchałem tej rady i najniespodziewaniej zostałem w Dąbiu elewem gospodarczym.

W dni kilka pod wieczór przybyło do Dąbia trzech panów. Jednego poznałem. Był nim Żeliński, były oficer moskiewski, którego widziałem dowodzącego piechotą w oddziale Mieleckiego pod Dobrosłowem. Drugim był Śmitkowski, rządzca z Końca, majątności Mittelstaedta — a trzeci, poważny mężczyzna o bladej twarzy, ciemnej brodzie i oczach badawczych, przenikliwych nazwiska swego nie wymienił, tylko dziedzicowi szepnął coś na uboczu, do ucha. Zasiadliśmy do wieczerzy. Prócz wyżej wymienionych i pań domu, zajęli przy stole miejsce: Bobiński, dyrektor fabryki, Lipiński i Benda, rządcy pana domu, dwóch jego synów, Lachowski i drugi jakiś oficer powstania i ja. Wszczęła się rozmowa. Obcy mężczyzna — był nim, jak się dowiedziałem, profesor Żuliński (ktoś inny utrzymywał w kilka dni później, że to był R.....), komisarz Rządu narodowego — zwracając się do Mittelstaedta, zapytał tajemniczo, czy można przy ty-

lu świadkach pomówić z nim otwarcie o sprawach publicznych.

— „Przy mojim stole wszyscy zaufani, niech młodzi słuchają, o czem starsi radzą, będzie to dla nich szkołą polityczną“, odrzekł z powagą Mittelstaedt, głaszcząc sobie rozczochraną brodę, co u niego było oznaką dobrego humoru.

Natenczas zaczął Żuliński w potocznych słowach przedstawiać ścieranie się dwóch prądów politycznych w powstaniu, tak zwanej partii białych i partii czerwonych Polaków. Uważał on powstanie za konieczność dziejową. Dowodził, że każdy naród aciąniony, czy przez rząd własny, czy zaborezy, jak tylko przyjdzie do porzucia sił swoich, jeżeli w nim iskierka godności człowieczeństwa jeszcze nie wygasła, usiłuje zawsze pozbyć się gnębieli. Powstania nie było można uniknąć, bo rząd moskiewski targał się na wszystko, co Polakom było święte, zagradzał narodowi wszelkie drogi do rozwoju pokojowego, usiłował go spodzić i przez brankę wynarodowić. Wróg sam zmusił nas do buntu otwartego, aby nas zgnieść i wykreślić z karty dziejowej. My zaś w krwi zmywając hańbę, pokusić się o odzyskanie świętej każdemu wolności, zostaliśmy zniewoleni. Zgadza się na tę nieuniknioną konieczność walki naszej o byt polityczny samiż Moskale. A jednakza w naszym własnym obozie znaleźli się ludzie, oswojeni już



z obrozą niewolniczą, którzy śmiało głosić przy-  
mierze z ciemiężcami, zachęcając do kapitulacji,  
przeciwni wszelkim pokusom do zrzucenia jarz-  
ma i zdobycia dawnego stanowiska niepodleg-  
łości. Ci właśnie, tak zwani biali — ludzie chwiej-  
ni a zarozumiali, bez żadnych jasno określonych  
zasad politycznych, ślepi zwolennicy albo Wie-  
łopolskiego albo Zamojskiego i Czartoryskiego,  
oddając narodowi niedźwiedzią przysługę, wzdzie-  
rają się do Rządu narodowego, a nawet w sze-  
regi powstańców, aby wszędzie i na każdym kro-  
ku ruch narodowy paraliżować!

— Oglądaliśmy się dosyć długo, mówił da-  
lej, za interwencją mocarstw zachodnich, którą  
nas partya białych dotychczas łudziła. Umocowa-  
ni przez Rząd narodowy ajenci przy przychylnych  
nam dworach europejskich do noszą wszakże jedno-  
zgodnie, że na obcą pomoc liczyć nie możemy.  
Przewidziała to i Czartoryszczyzna w Paryżu, dla  
tego to, porzucając na czas loteryjkę dyploma-  
tyczną, na której oswobodzenie ojczyzny wygrać  
myślała, zaczyna teraz zbliżać się do Mierosław-  
skiego i uznawa go nawet organizatorem wojsk  
polskich, ale pod warunkiem, żeby nogą na zie-  
mi polskiej nie stąpił, aby nie dać obcym mo-  
carstwom pozoru chwywania się środków rewol-  
ucyjnych, mogących wywrócić równowagę całej  
Europy. Od kilku miesięcy przelewana na próż-  
no krew braci, spada na partyę białych, która  
zamiast współdziałaniem przeważać szalę zwycięż-

two, nietylko sama była gnuśnym świadkiem boju, lecz okłamywała naród obietkami obcej pomocy, a w kraju przeszkadza wszystkimi siłami, aby czasem cały naród za broń nie chwycił. Zwracając się potem do Mittelstaedta, zapytał go, co sądzi o obecnem położeniu kraju, czy jest jeszcze jaka nadzieja zwycięstwa, czy nie?

— Dłużej mówić, wahać się nie możemy. Do Ciebie obywatelu przybyłem po radę i wskazówki. Wiemy o tem, żeś w roku 1848 w Poznańskim służył polskiej sprawie nietylko dobrą radą, lecz i zbrojnym ramieniem na czele chłopów przechylił pod Wrześnią szalę zwycięstwa na naszą stronę. Liczymy na patryotyzm i poświęcenie mieszczaństwa i obywateli ziemskich, i wiemy o tem, że na dane hasło spełnią obowiązek narodowy. Lecz mieszczaństwo i szlachta stanowią ledwo dziesiątą część narodu. Pozostają jeszcze nieużyte siły ludu wiejskiego. Radź! ucz nas obywatelu, jak zagrzać chłopstwo miłością ojczyzny i ku jej oswobodzeniu z pod jarzma Moskali pod broń powołać. To było osnową przemówienia Zulińskiego.

Kiedy skończył, ogólne milczenie przerwał Zieliński żołnierską uwagą, że całą partją białych najlepiej od razu powywieszać, a potem pójdzie już sprawa gładko i Polszczaja budie. —

Mittelstaedt długo milczał. Poczem w odpowiedzi zaczął mówić — a mówił przeszło trzy

godziny, bo aż do drugiej z rana, a myśmy z największą uwagą i namaszczeniem słów jego słuchali.

Już to wiele lat temu. Nie można odemnie wymagać, żebym jego słowa, trafne spostrzeżenia i historyczne przykłady był w stanie powtórzyć w całej osnowie. Skreślałam tu więc tylko w streszczeniu, co z mowy jego spaamiętałem.

— Kto chce, mówił, wroga zwyciężyć orężem, musi pierw walczyć sam z sobą i zdobyć myślą zwycięstwo. Każdy czyn powinna myśl poprzedzać. Bez obmyślenia sposobów i środków, niczego zdobyć, zbudować, ani osiągnąć nie można. Zgadzam się zupełnie na to, że powstanie było nieuniknione. Było ono też przez apostołów oswobodzenia narodowego przewidziane, obmyślane a podług ludzkiej rachuby i zwycięstwo nad zewnętrzym wrogiem byłoby zapewnione — gdyby — właśnie gdyby nie to gdyby.“

A zwracając się do Zulińskiego — „mówisz obywatelu o patryotyzmie szlachty i mieszczaństwa, jakbyś tego patryotyzmu był pewny. Niezaprzeczam — mieszczaństwo jest patryotyczne, lecz ileż tego mieszczaństwa — gdy odtrącimy trzy czwarte na żydów, którzy wprawdzie w Polsce oswobodzeniu narodu z pod jarzma moskiewskiego sprzyjają, lecz wciągać ich w rachubę nie można, bo się nikt na seryo dotychczas z nimi nie liczył. A przyznać trzeba, że oni i

liczebnie i pod względem inteligencji stanowią u nas polityczną potęgę. — Co dotyczy szlachty jako stanu, pożałuj się tego Boże, kto liczy na jej patriotyzm i wierzy w spełnienie przez nią obowiązku narodowego na z a w o ł a n i e. Szlachta już dawno politycznie obumarła. Wystąpiła ona po raz ostatni na scenie dziejowej w konfederacji Barskiej, lecz już w bardzo słabym zastępie, gdyż na 200000 szlachty, mogącej wystąpić ęrdźnie, nawet piętnastu tysięcy nie było w stanie zebrać się w jeden hufiec na ratunek upadającej ojczyzny. Konfederacja Barska złożyła dowody najwznoślejszej miłości ojczyzny i poświęcenia, upadła jednak, bo ufała tylko dzielności szlacheckiej, tylko dla siebie uznawała prawa i obowiązki względem ojczyzny, a niespożytej siły ludu wieśniaczego nieuwzględniła, niestarła się oprzeć na tej sile i wciągnąć jej do wspólnej obrony. — Dla niezasłepionego na prawdę dziejową, konfederacja Barska jest jednakże nie ostatnim rycerskim podrygiem Polski umierającej, lecz pierwszym brzaskiem, zapowiadającym odrodzenie narodu. Ona to pierwsza, chociaż wierzyła w zbawienie Polski przez modlitwy i cuda, po za tem oparła się na własnych siłach, szukając w nich ratunku ojczyzny. Była ona też znacznym postępem społecznym, bo aczkolwiek nie oparła się na gminie ludu wieśniaczego — i z nim się nie zbratała, jednakże sama powstała przez gmin szlachecki,

bez współdziałania magnatów i przyjmowała w szeregi ochotnika bez różnicy stanu, a więc przypuszczała ze sobą do równości każdego, co się chciał bić za Polskę. Upadła konfederacya, a wrogi dokonali pierwszego rozbioru Polski. Te dziejowe wypadki zamiast Polaków przygnębić, przeciwnie rozbudziły w nich tak energiczną ruchliwość, jaką równą wówczas tylko we wielkiej rewolucyi francuzkiej napotykamy. Naród, szukając deski ratunku, nadaje sobie konstytucyą 3 maja. Dziś zarzucamy i słusznie tej konstytucyi, że ona była dziełem poronionem, a dowodem, iż Polski od upadku nie uratowała. Jej twórcy szukali jeszcze pomocy i zbawienia po za krajem, wierzyli podstępny| namowom dyplomatów państw ograniczonych, czyhających na ich zgubę, — ustanowili monarchią dziedziczną, niebaczni na to, że lud francuzki, zrzucając jarzmo niewoli, rządy monarchiczne musiał wywrócić, a króla zdrajcę posłać pod topór; zapominając o tem, że tron dziedziczny w Polsce nie zgadza się z krewkością i z duchem narodu, tradycyjnie zakochanego w swobodach i przyzwyczajonego do wolnego rozporządzania losami Republiki. Co zaś najgłówniejsza — konstytucya ta nie podniosła zupełnie ludu do godności obywatelskiej, lecz ustanowiła zaciąganie tylko jednostek zasłużonych pod sztandar szlachecki, pod sztandar polityczny, pod który sama szlachta w obec wroga ojczyzny zbierać i

łączyć się już zaniechała. Mimo to ustawa 3 maja pozostaje dotychczas dla nas szkołą rozumu stanu. W stronnicy walce między jej twórcami odniosła zwycięstwo mądrość narodu, wcielona w mały zastęp ludzi wielkiego światła, jakimi na ten czas mało który naród mógłby się poszczycić. W obronie konstytucyi stanęło już 50 000 gromadnie do szeregu, ale przeciw niej wystąpił zabór i Targowica, do której przystał także król, zdradzając naród po raz drugi.

Targowica — to magnaci — wyrodki, co podnoszą broń na własną matkę, przyzywając przeciw niej w pomoc moskiewskie bagnety: — to szlachta rozwielniona, nie chcąca uznać nad sobą ani władzy króla, ani podlegać prawu Rzeczypospolitej, przez Konstytucyą 3 maja ustanowionemu. Ta na polskim chlebie wytuczona oligarchia nie trzymała się, biorąc ściśle, żadnej zasady, nie miała żadnej myśli politycznej, nie była też politycznym stronnictwem, lecz zgrają intrygantów i wichrzycieli, między sobą zawistnych i gotowych pożreć się wzajemnie, lecz w tem zgodnych, że duma i osobisty interes przemagały w nich nad sprawą publiczną i dobrem ojczyzny. Dla nich ojczyzną były wielkie majątki z tyłu a tyłu tysiącami dusz chłopskich, trzymanych w poddaństwie tak ściśle, iżby ani Bóg ani dyabeł nie miał do nich przystępu. A ponieważ Moskwa była p a r e x c e l l e n c e państwem despotycznym, utrzymu-

jącem poddaństwo, dla tego udali się pod jej skrzydła i opiekę, zaprzędając jej własną ojczyznę, byle się przy prerogatywach rozpasanych na wszystko możnowładców utrzymać. Targowica pociągnęła w pierwszej chwili za sobą tłum szlachty przesadnych pojęć o znaczeniu klejnotu szlacheckiego, a obumarłych uczuć patryotycznych, albo takiej, co garnąc się ku mocniejszym zaborcom, chciała coś zyskać. Pociągnęła zwłaszcza dla tego, iż zaklinając się na wszystkie świętości, biadała, że wolność i przywileje szlacheckie przez ludzi nowej ideji zrównania stanów są zagrożone.

Nie ma się co dziwić, że Polska upadła. Siła wielu na jednego. Trzech zaborców, król zdrajca, Targowica, ślepotą przez nią zwiedzioną szlachty, i takiej co na sprawy publiczne obojętną, goniła tylko za chlebem powszednim, pomnożeniem fortuny kosztem ojczyzny — przeciw garstce mężów wielkiego serca i poświęcenia grupujących się do ostatniego ratunku pod Kościuszką. Chociaż naród powtórnie rozewiartowany, jednak lepsze zaczął okazywać poczucie. I były Raclawice, gdzie to lud wiejski pó raz pierwszy powstaje w obronie ojczyzny — co mówię — nie powstaje, lecz od razu jak huragan pędzi na moskiewskie baterie i te zabiera, nie w pancerzu ani konno i zbrojno, lecz w sukmanie i tylko z kosą i kłonicą w silnej chłopskiej dłoni.<sup>1)</sup> I był wielki tydzień warszawski<sup>2)</sup>

i bali wileński,<sup>3)</sup> gdzie to zaciężne żołdactwo, zbroczywszy bruki swą juchą, przed nożem i toporem mieszczan w szybkiej ucieczce szukało ratunku. I stanęły szubienice we Warszawie i Wilnie a na szubienicach zawisli zdrajcy znakomici.<sup>4)</sup> Początek dobry lecz nastąpiły zboczenia. — W świeżej jeszcze pamięci były bunty i rzezie chłopów kozaków na Rusi.<sup>5)</sup>

Patryoci rycerskiego stanu — na widok chłopów — bohaterów zdobywających pod Racławicami armaty po moskiewskich trupach — ulękli się, aby to chłopstwo, gdyby stanęło pod bronią w hufcach liczących na tysiące, rozjuszone w posoce wroga, a zagrzane przykładem mieszczan wieszających zdrajców, nie zabrało się czasem i do gardeł szlacheckich. We Francji wrzała wówczas także jeszcze mordercza walka między roznamiętnionymi stauami. Świeżo dopiero co stłumiony tam bunt robotniczy tem więcej potęgował obawy naczelników powstania, aby coś podobnego i w Polsce nie nastąpiło.

Załowac nam trzeba, że powstanie Kościuski, po tak śmiałym wstępie na arenę dziejową, mogącą przetworzyć naród i zdobyć mu niepodległość, chwyciło się w następstwie tylko zwyczajnych środków obrony kraju. Lud w tem powstaniu, chociaż mógłby, stanowił tylko żywiół podrzędny. Była to pierwsza próba siły po za szlachtą w narodzie spoczywającej — lecz próba z nieufnością rozpoczęta. Lud cofnął się



też, umilkł i nierozwinał swojej potęgi dając tylko uczuć, że ta potęga liczbą pomnożona może być niezłamaną.

Po upadku powstania Kościuszki, Polska po raz trzeci ćwiartowaną i zupełnie między trzech zaborców rozdrapaną została. Lecz o dziwno! — państwo upada — ale naród potężnieje.

Co lepszego w narodzie, czuje hańbę, że wszystkich sprężyn w obronie niepodległości nie poruszono, uznaje popełnione błędy i brak wytrwałości. Nie mogąc przenieść hanby i upokorzenia, opuszczają Polacy tłumnie kraj rodzinny, spiesząc na zachód. — Co ich tam wiodło? — Przecież nie chęć zysku płynącego z podboju! Tam naród francuzki targając pęta niewoli, kąpał się w krwi zażartych ciemieżców — obalał trony — głosząc ludom prawo człowieka do wolności, równości i niepodległości. Polacy spieszą pod te sztandary — i w nadziei odgrzebania myśli narodowej na własnej ziemi, łączą swe losy i nadzieje pod orłami francuzów. Matki błogosławiąc synów, wyprawiły ich do legionów Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Niemcewicza, Giedrojca — zamężniejsi wspierali braci walczących, a Polacy w służbę wrogów gwałtem zaciągani, pzzechodzili do obozów narodowych za pierwszym zetknięciem się z nimi. — Przez legiony walczące za wspólną wolność narodów i niepodległość własnej ojczy-

zny, — licząc z armią pod księciem Poniatowskim, przeszło razem około 200 tysięcy Polaków — a stawało w jednym obozie do 80 tysięcy. Co za olbrzymia różnica w liczbie obrońców sprawy narodowej, po latach tylko kilkunastu!

Wtenczas to napiętnowała się jaskrawie sprzeżność między Polakami a Polakami. Jedni o których mowa, walczyli za wolność obcą i swoją. W legionach nie pytał jeden drugiego, czyś ty szlachcic czy nie — była zgoda, miłość, braterstwo. Lecz drudzy, magnaci Targowicy i wyrodki im podobni, posłi w służbę carów poddaństwa, wrogów wolności, od matkobójców przyjmując tytuły, których i dziś potomkowie ich używają. I ci magnaci — oligarchowie, kiedy w 1815 roku Kongres wiedeński nie mógł się zgodzić o podział Polski, zaręczyli w swoim i wszystkich rodaków imieniu, że polacy chcą widzieć na tronie władzę północy — moskiewskiego cara, za co najprzedniejszy z nich dostał nawet od Niemca policzek,<sup>6)</sup> jak śmie świętokradzko przekształcać wolę swego narodu. Magnaci polscy głosowali zatem za czwartym i ostatnim podziałem Polski — a nie za samoistnością narodu, jak im to sumienie wskazać było powinno — woleli żyć pod berłem cara — despoty, a nie bratać się z rodakami we wolnej ojczyźnie.

¶ znów myśl narodowa przygębioną została — lecz nadaremnie. Duch narodu nie zna słu-

pów granicznych. Mimo baczących straży wrogów, myśl niepodległości, nad Niemnem, Bugiem, pod Karpatami czy nad Bałtykiem nie zagasła. — Zaczęła ona żarzyć się na nowo podniecana przez weteranów — którzy, z powrotem z legionów w ojęzyste progi, głosili nowe idee i pojęcia o wielkim świecie i różnych narodach, krzewiąc żywym słowem oświatę, napawając młodzież obywatelskimi cnotami i miłością ojczyzny. Polska stanęła wówczas po raz pierwszy otworem dla cywilizacji zachodu, znajdującej przystęp i do chat wieśniaczych. I zastąpili uczeni mężowie — szkoły we Wilnie, Krzemieńcu, Warszawie, Krakowie nabierają rozgłosu. Młodzież zapala się zamiłowaniem nauk, zgłębianiem przeszłości — a w następstwie miłość ojczyzny coraz bardziej serca jej rozpala.

Wióg przewidując w tej ruchliwości Polaków dla siebie niebezpieczeństwo, obmyśla środki tłumiące oświatę, wstrzymujące postęp idei narodowej; organizuje płatnych szpiegów, mnoży bagnety, otwiera lochy więzień dla podejrzanych. I widziano wojskowych różnego stopnia, obywateli, księży, starców z czasów konfederacji i z pod Kościuszki obok młodzieży a nawet dzieci, rzucanych do więzień podziemnych, branych na tortury i pod sąd oddawanych. Nic to nie pomogło. Nie ma więzień do zamknięcia, ani kajdan do skrepowania ducha narodu.

Nastąpił spisek szeroko rozgałęziony i listo-

padowa rewolucya 30 roku w Warszawie. Czem była ta rewolucya i co ona osiągnąć zamierzała? — Wywołana spiskiem wojskowych, młodzieży, obywatelstwa miejskiego, wiejskiego i księży — pałała ona bez zaprzeczenia miłością ojczyzny, pragnęła samoistności i niepodległości narodu — a z tego wynikało, iż w swem założeniu ograniczała się na chęci wypędzenia wroga. Chciano być narodem niepodległym, projektowano ulepszenia, ale nie trafiono jeszcze na najprostsza drogę. Chciano zbudować dom własny, poczynając od uprzątnięcia gruzów i śmieci, to jest od wypędzenia moskali — lecz nieobmyślono poprzednio żadnego planu, podług którego dom ojczysty ma stanąć, odpowiednio miejscu i czasowi.

W noc listopadową przysiężona czeladka wzięła się rączo do pracy — świadkiem: Belweder, krwawa walka na ulicach, pomordowani generałowie i ucieczka ks. Konstantego na czele moskali. Ale czeladź nie starczy do tak wielkiej budowy — jaką jest oswobodzenie kraju z pod obcego jarzma. Zapomniano o wyborze i ustanowieniu polierów, majstrów i architekta, którzyby ładem robotą kierowali — słowem — spisek nie obrał sobie Rządu świadomego swego wielkiego zadania i obowiązku.

Co więcej! Jak przy każdej budowie, trzeba kopać pod fundamenta głęboko; aż do stałego pokładu, żeby gmach przed czasem nie ru-

nał — należało tak samo, — tak w czasie konspiracyi, jak i z chwilą wybuchu powstania — sondować niezgłębione dotychczas warstwy ludu i pod fundamenta jako tako je przygotować. Bo jeśli Polska ma być niepodległą, tylko na fundamencie ludowym może być wzniesioną i przez areopag innych narodów jako taka uznaną. Dla innej Polski nie ma przyszłości — i nie ma ani środków, ani dróg, ani żadnych widoków, żeby Polska, — jeśli nie w ludowej, w innej szacie zmartwych powstać mogła.

Te dwa warunki patryoci 30go roku przeoczyli.

Lud polski można było jeszcze w czasie powstania do wspólnej akcji pozyskać — lecz brak silnej władzy rewolucyjnej w chwili rozpoczęcia walki o niepodległość, pozostanie na zawsze przestrogą do nieprzebaczenia.

Skutki tej nieprzezorności ujawniły się zaraz nazajutrz nocy listopadowej i w dni następne. Dziki książę uciekł z Belwederu w spódnicy do swego wojska, a z wojskiem za miasto. Osaczony i struchlały nawet nie próbował oporu, — niepokusił się o wykartaczowanie hołoty (jak to jeden z polskich oligarchów mu doradzał.<sup>7)</sup>)

Powstanie pierwszy tryumf odniosło. Nie można powiedzieć, żeby wówczas były w Polsce stronnictwa jasno określone, zorganizowane iswego celu i zadania świadome.

Były tylko odcienia. Jedni spodziewali się

od Rosyii zbawienia i byli gotowi umizgami do moskali i płaszczeniem się przed tronem cara spodlić się zupełnie, byle owczesny stan kraju i swe stanowiska, jak najdłużej utrzymać — w nadzieji, że z czasem większe ustępstwa wyżebrzą. Drudzy niewierząc w szczerłość carskiej miłości i na obcą pomoc licząc nie wiele, tylko we własnych siłach widzieli zbawienie ojczyzny. Dopiero z chwilą wybuchu powstania, ochłonawszy z pierwszego przerażenia, — pierwsi, tak zwani oportuniści, ludzie chłodnego umysłu, zimnego serca, zwolennicy Moskali i tej zasady: jak będzie, tak będzie, byle nam osobiście było najlepiej — widząc, że spiskowcy zapomnieli o utworzeniu Rządu, powyłazili z kryjówek i powstaniu na kierowników w Radzie administracyjnej się narzucili. Dawni ministrowie cara, magnaci, ludzie bez myśli, bez serca a przedewszystkiem, bez stałych pojęć politycznych, zostali kierownikami ruchu rewolucyjnego. A lud pod bronią co na to? Cieszył się i klaskał w dłonie, że takie w kraju powagi stawiają u steru Rządu. Moi panowie! płakać trzeba na widok tego zaślepienia.

Powiedział jeden z tulaczy: że jesteśmy najuczciwszym ale też i najgłupszym narodem pod słońcem. Któż tej prawdzie śmiałby zaprzeczyć? Przypatrzmy się, cóż dobrego zrobili ci przez naród uwielbiani sternicy sprawy narodowej?

Zamiast pochwyć carskiego brata i zatrzy-

mać go zakładnikiem — na co wpadłby każdy rozum owczarski, — oni układali się z nim w Wierzbowie, łudząc się nadzieją, że tem pozyskają carskie przebaczenie i łaski:“)

Zamiast wojsko moskiewskie zabrać rozbroić i wcielić w szeregi powstańcze, coby każdy chłop, biorąc na swój um, był uskutecznił — pozwolili Konstantemu na czele tego wojska najspokojniej ku granicom odciągnąć, aby ono, połączwszy się z dążącymi z Rosyi posiłkami, mogło z powrotem, swobodnie polskie skóry garbować.

Zamiast powołać cały naród pod broń, — odsyłali spieszących do powstania chłopów do domu.

Zamiast posłuchać głosu ludu i znienawidzonych klubistów,<sup>9)</sup> którzy w tym razie najśluszej żądali wypraw na Rus i Litwę, aby tam wzniecić powstanie i przeciąć drogę moskałom — oni radzili spokojnie we Warszawie, „bawiąc się winem, kartami“ i prowadząc układy z carem o przebaczenie i warunki pokoju.

A kiedy się przekonali, że car nie żartuje, lecz pcha coraz to nowe korpusy do Polski na zgnicenie buntu — wynaleźli po wszystkie wieki ośmieszoną taktykę: niech się bije król Mikołaj z Mikołajem carem.

Nie ulega wątpliwości, że w roku 1831 można było moskałom odebrać całą zabraną przez

nich polską ziemię i raz na zawsze z kraju wypędzić — lecz powstanie było zaraz w zawiązku ubezwładnione, sparaliżowane, zdradzone i zabite. Dokonali tego, jeśli nie cielesni to duchowi potomkowie Targowicy. Mniejsza o to, jak ich, odpowiednio czasowi nazwiemy: oportunistami oligarchią, arystokratami czy konserwatystami. Ich wpływ, chociażby oni byli z kąd inąd ludzie uczciwi, w narodzie uciemżonym był zawsze zgubny w chwili działania. Czy oni tworzą stronnictwo, czy jednostki, zawsze zachowują się biernie, zachowawczo, kontenci z tego, co posiadają. Nic oni zgoła na świecie dobrego nie zdziałali i nic też nie zdziałają bo nic nie przedsięwzięją i nic nie czynią, więc też tworzyć nic nowego nie mogą. Umieją tylko stawiać wszystkiemu opór, sprzeciwiać się i przeszkadzać. Można by ich porównać do nieruchomych kamieni, wstrzymujących prąd potoku o groźących rozbitciem płynącemu na wodzie statkowi.

Na nic się przydała 10 miesięczna walka, w której bohaterska waleczność Polaków zyskała podziw i uwielbienie całego świata. Powstanie padło ofiarą niepolskiej wiary a także i jawnej zdrady. W 30 tysięcy zbrojnych z wrogiem rozpoczęto walkę, a 80 tysięcy walecznych złożyło broń wtenczas, kiedy armija moskiewska już do połowy stopniała.



Musiaby Polska po tej katastrofie zniknąć na zawsze, gdyby Opatrzność nie czuwała nad losami narodów.

Po rozbiórce Polski spustoszenie, nędza, zwątpienie, zapanowały pod knutem moskali na całej przestrzeni kraju. Upadek materyalny i moralny narodu musiał być niesłychany, kiedy nawet narodowi poeci pisali pochwały na rozbiór Polski i nowe rządy zaborców. A jednak znać tchnieniem Opatrzności, powiały sztandary legionów polskich na obcych ziemiach, a okryte chwałą, rozbudziwszy ducha narodu, wskrzesiły księstwo Warszawskie.

Po powstaniu 31 roku waleczni składają broń, przez ugodowców — z rąk im wytraconą, ale się nie poddają — nie korzą czoła przed zwyciężkim wrogiem, lecz — widocznie z wyższego natchnienia — opuszczając kraj tłumami spieszą na Zachód. W ten czas to zdumione narody podejmowały z największą czcią i uwielbieniem tysiące polaków idących na dobrowolne tułactwo.

Trafnie powiedział Mićkiewicz, że tułactwo polskie, to dusza Narodu.

Zgroza było patrzeć na to, co po 31 roku działo się w kraju: konfiskata majątków, Sybir, szubienice, zabieranie kościołów, prześladowanie religijne, znoszenie szkół polskich, wyrwanie dzieci z pod opieki rodziców, aby je wychować

w carskich zakładach na własnych braci siepaczy — oto były środki mające posłużyć do zupełnej zagłady polskiego narodu. Pomylił się jednakże wróg i w tych rachubach. Rozwścieklony deptał i szarpał ciało narodu, ale duszy narodu nie był w stanie dosięgnąć i zgładzić.

Tysiące emigrantów, osiadłych we Francyi, Szwajcaryi, Włoszech, Belgii, Ameryce, przypomniały światu żywotność swego narodu, a krajowi nie dały zasnąć w omdleniu. Było sercem i głową kwiat narodu — potężne legijony duchowe, czuwające nad bracią pozostałą w niewoli, aby na duchu nie upadała i zwątpieniu się nie poddała.

Są ludzie w kraju — nie wiem — źli, podli czy głupi, którzy śmiać miotać obelgi i złorzeczenia na emigracyą, przypisując jej wszystko złe w kraju przez to, że niepotrzebnie podnieca naród do spisków i buntów przeciw zaborcom. Powiadają oni: gdyby nie powtarzające się rewolucye, Polska mogłaby na drodze pokojowej przez mądrze obmyślaną pracę organiczną swobodnie się rozwijać i z czasem — z czasem powtarzam — dojść do samodzielności. — Takich proroków należy uważać za bezmózgłych bękartów, którym się zdaje, że nie znając ojca, narodzili się bez żadnego rodzica.

Alboto emigracya krajowi przeszkadzała, czy w pracy rozwoju umysłowego, czy na dro-

dze handlu, rolnictwa lub przemysłu? Przeciwnie wszystkie pobudki i natchnienia, do tak zwanych „prac organicznych“ z niej brały swe źródło. Przecież i w samej emigracyi byli mężowie, jak: Walewski, Wołowski, Ostrowski i tyłu innych, którzy nawet w obcych narodach zajęli stanowiska jak najszczytniejsze i najwybitniejsze<sup>10)</sup> a tem samcem służyli za przykład i zachętę do naśladowania braciom pozostałym w kraju.

Nikt pewno z emigracyi nie radził-rolnikowi, żeby roli dał leżyć odłogiem — rzemieślnikowi, żeby warsztat porzucił i pracy dał spokój — a całemu społeczeństwu, żeby o wzrost sił duchowych i materialnych się nie troszczyło — bo Polska i bez prac organicznych powstanie! Emigracya mogła tylko naród przestrzegać, aby zabiegów o podniesienie dobrobytu krajowego, niebrał za cel swego założenia, lecz za środek wiodący do celu — którym dla każdego Polaka jest: musi być i wskrzeszenie wolnej ojczyzny.

Tylko we wolnej ojczyźnie może Naród swobodnie się rozwijać i w siły wzrastać. W narodzie pozostającym pod obcem jarzmem, osławione „prace organiczne“ zdrowych dla jego organizmu owoców nie wydadzą. Tak nas mogła uczyć emigracya, tak nas uczy historyozofia wszystkich narodów i po wszystkie wieki.

I w istocie, cóż z tego, że pszczoły miód

zbierają, kiedy nie dla siebie, tylko dla bartnika. Pracujesz mozolisz się, rozwijasz przemysł, podnosisz rolnictwo — ale te usiłowania wychodzą na korzyść wroga twojej ziemi. Gdy on spostrzeże, że twoja praca idzie na twój pożytek, abyś czasem na siłach mu nie sprostał — nie dopóści — by jak Samsonowi włosy ci odrosły, lecz zawczasu nogi ci podetnie.

Pod pierwszym lepszym pozorem niepomysłną dla siebie instytucją, czy przedsiębiorstwem, w interesie państwa zniesie, rozwiąże, ciebie jako szkodliwego dobru państwa wyśle do cytadeli lub na Sybir, a mienie twoje skonfiskuje! Znajdzie on zresztą tysiące innych sposobów i środków, by ciebie na łańcuchu czy w jarzmie utrzymać.

O możebności oswobodzenia narodu z pod obcego jarzma na drodze spokojnej „pracy organicznej“ rozwodzą się ludzie, mający najchocholliwsze o tej pracy wyobrażenia. Czynią to, dla nadania sobie znaczenia, maskując mglistymi poglądami nicosć swych pojęć społeczno-politycznych. Są to najczęściej projektowicze z rzemiosła, którzy sami organicznie pracować nie umieją, albo kandydaci na dyrektorów przedsiębiorstw, na których się nie znają — mówiąc gminnym językiem — okpisze i wyprzątacze kieszeń dobroduszej szlachty.

\*

\*

\*

Wyrazy ewangeliczne: słowo stało się ciałem mówią nam, że słowo—duch—czyli siła, chociaż niewidzialna, tworzy wszelkie ciała niemi rządzi. Naród, jako całość, jest także ciałem, i jeżeli w nim nie działa duch-siła — siła wiedzy, woli, rozumu i pracy, taki naród zostanie ciałem martwym i pochłoniętem przez silniejszem narody. Nie dobrobyt i bogactwo wpływają na podniesienie ducha narodu i czynią naród światłym i potężnym — jakto niektórzy utrzymują — lecz odwrotnie, spotęgowany nastroj ducha, zapewnia narodowi byt i samodzielność.

Człowiek duchowo upośledzony, nie tylko nie zrobi majątku, lecz i odziedziczony utraci. Samolub, jedynie za zyskiem materjalnym goniący, na udoskonalenie duchowe swoje i rodziny nie dbały, a na sprawy społeczne i losy ojczyzny obojętny, chociaż krobi majątek, takowy krótkotrwały a potomstwo jego zmarnieje. Jestto fakt na spostrzeżeniach codziennego życia oparty. Jak z jednostką tak samo ma się z narodem.

Moskwa, po rewolucyi 31 r. przygniotła Polskę grobowem kamieniem. Car Mikołaj zniósł Konstytucyą, a dał Królestwu Polskiemu tak zwany Statut organiczny, usunął wolność osobistą, wprowadził cenzurę, konfiskatę majątku za zbrodnie stanu i odwołałność sędziów. Niepomny na wydaną amnestyą, w rok później, żołnierzy

polskich z 31 roku wcielił na lat 15 do armiji moskiewskiej; zbiory akademii warszawskiej i rozwiązanego Towarzystwa przyjaciół nauk zrabował i przewieść kazał do Petersburga. Królestwu zostawił jeszcze odrębną administracyą i nazwisko mówiąc szydlerczo: jest Polska — lecz nie będzie Polaków.

W obumarłym moralnie kraju rój ludzi zobojetniałych, zwątpionych lub wrogiem zaprzędanych, godził się z carskim wyrokiem na dożywocie, zadowolniony pobieraniem pańszczyzny z polskiego chłopa. Masy Indu, czy pod Moskałem, czy pod prusakiem czy austryjakiem, uważane za własność panów, nie miały poczucia narodowego.

W kraju nastąpiła zupełna moralna martwota. Za to w Emigracyi znicz narodowy jasnym światłem zapłonął.

Tam daleko od kraju — gdzie wsciekły ze złości wróg był bezsilnym pogrozić polskiemu patriotyzmowi: Sybirem, katem, więzieniem i kajdanami — gdzie szpiegi do pracy emigrantów nie znajdowali przystępu — tam rozwinęła się w całej potędze duchowa walka z ciemnizcami ujarzmionego narodu — a nieśmiertelny duch polski zaczął z całą swobodą wydobywać się z popielisk zasypanych gruzem szlacheckiej anarchii ostatnich stuleci.

Nie obyło się w emigracyi i bez walki wewnętrznej wzniesionej przez synów Polski w pier-

worodnym grzechu Targowicy zrodzonych. Lecz ta walka — jak każda walka o polityczne zasady, — nie tylko dzieła odrodzenia narodowego nie osłabiała, lecz przeciwnie, poczętej w emigracyi myśli: — Zerwania z tradycją Polski szlacheckiej a wskrzeszenia ojczyzny na szerokich barkach ludu opartej — dodawała podnie-ty i siły.

Powstały w emigracyi dwa główne stronnictwa polityczne, różniące się w zasadach i dążnościach. I jedno i drugie dążyło do odbudowania Polski. Różnica zachodziła w obranych środkach i drogach, wręcz sobie przeciwnych, a mających doprowadzić do celu upragnionego.

Stronnictwo arystokratyczne liczyło na spodziewaną pomoc rządów. Wierzyło ono, iż prędzej, czy później przyjdzie między europejskimi rządami do nieporozumienia, że równowaga między poszczególnymi państwami w Europie się zachwieje — a w takim razie będzie to leżało w interesie obcych rządów, aby dla miłej zgody i równowagi Polskę odbudować. W tym celu, Stronnictwo arystokratyczne, powołując się na dawne traktaty, i podsuwając różne kombinacye polityczne, kołatało do drzwi monarchów i różnych ministeryjalnych gabinetów, do których znajdowało przystęp stosunkami pokrewieństwa i osobistemi wpływami — błagając o protekcyą i pomoc.

Na czele tego stronnictwa stała i stoi gło-

sna familia książąt Czartoryskich, roszczących sobie prawo do polskiej korony. A w skład jego wchodziły i wchodzi najroznorodniejsze żywioły, mające pretensją do wielkiego znaczenia. Jałowe ambicje idące zwykle w parze z dziejącym niedołęstwem — niedorośli dyplomaci — rozni o ciasnych głowach i wysłych mózgach pretendenci do odgrywania roli politycznej — i wszystkie niesforne w kraju i emigracyi żywioły, niechące się podporządkować żadnemu prawu i żadnym obowiązkom, — a do jakiego niebądź poświęcenia największy wstręt mające, zaciągały się pod wygodny a do niczego niezobowiązujący sztandar polityczny tak zwanej Czartoryszczyzny. Smieszna strona Aryst jest król de facto. Jakby na szykanę Polski a urągawisko całej Europy, najzarliwsi poplecznicy książąt Czartoryjskich, lecz zarazem najwięksi dziwacy, ogłosili ks. Adama, 80-cio letniego staruszka, królem polskim — królem bez królestwa!

Stronnictwo artystokratyczne dążyło do odbudowania Polski takiej, jaką ona była przed laty — Polski szlacheckiej z królem na czele. Do podniesienia chłopów do godności obywatelskiej, zrównania stanów i wogóle do wszelkich drdzennych zmian społecznych, okazywało ono wstręt nieprzewyciężony.

Wielkiego wpływu stronnictwo arystokratyczne la losy ojczyzny nie wywarło i nie wy-



wiera, żadna bowiem z jego kombinacyi politycznych się nie ziściła i nie ziści.

Dodatnią stroną tego stronnictwa, a właściwie familji Czartoryskich jest: troskliwość o zakładanie we Francyi szkół dla kształcącej się polskiej młodzieży, aby ta wychodziła na pożytecznych krajowi obywateli.

\* \* \*

Drugiem stronnictwem było Towarzystwo demokratyczne. Zaraz przy założeniu przystąpiło do niego na 10 tysięcy emigrantów zamieszkałych we Francyi, przeszło tysiąc, powiekszej części szlachty, zrywającej niejako z tradycją Polski szlacheckiej.

Zużyte powagi: byli ministrowie, senatorzy, jenerałowie, deputowani, którzy, przez niedołęztwo czy złą wolą, stali się grabarzami powstania, jak rządili krajem, chcieli tak samo rządzić emigracją, jakby im to z urodzenia i z prawa się należało. Tą dziką pretensją oburzeni emigranci, odmówili posłuszeństwa, oświadczając bez ogródki, że rządów jaśnie urodzonych już mają dosyć. Najruchliwsi zaś i najświatlejsi — przeważnie mężowie uczeni: historycy, literaci, inżynierowie, doktorzy, różnego stopnia oficerzy i młodzież akademicka — założyli, jako przeciwstawienie dążnościom i zachciankom jaśnie panów, osobny związek nazwany demo-

kratyczny czyli ludowy. Związek ten nabrał wkrótce wielkiego rozgłosu przez swą rzutkość, czynność i nieograniczone poświęcanie się dla sprawy narodowej — a gruntownymi pracami na polu badań historycznych, politycznych, społecznych, militarycznych, zjednał sobie znaczenie i powagę u wszystkich ucywilizowanych narodów.

Emigracyja miała sposobność swobodnego łączenia się i jawnej zamiany swych myśli. Badania nad przeszłością narodu, przyczynami upadku ojczyzny i niepowodzeń w poprzednich zbrojnych powstaniach o niepoległość, naprowadzały ją na spostrzeżenia i myśli, znajdujące uznanie u wszystkich nieuprzedzonych tak za granicą jako też i w kraju. Szczególnie Towarzystwo demokratyczne głosiło zdania i zasady zupełnie nowe, wywołujące przewrót pojęć w umysłach ziomków, wstrząsając do głębi podwalinami ustroju społecznego w Polsce. Swoją wiarę polityczną streścili demokraci w roku 1836 w głośnym manifeście do Narodu. Nauka ich i poglądy historyzoficzne, oparte na sumiennych badaniach, ujęte w zdania najkrótsze, przedstawić uważam tu na miejscu:

Na ziemiach polskich zamieszkali słowianie chopi byli pierwotnie ludem wolnym, dopiero z wiekami powstała ze stanu rycerskiego szlachta. Ta naśladowując społeczne stosunki cudzoziemskie zamieniła chłopców w poddanych, a w końcu zupełnie ich njarzmiła.

Słowiańskie nie znali, ani królów, ani arystokracji ani kapłaństwa. Nie znali oni żadnego z tych trzech węzłów społeczeństw pogańskich, przeto nie byli społeczeństwem politycznym, nie byli nigdy narodem! Chrześcijaństwo dopiero, polańskich praojców naszych gminy połączając i ustalając w narod, zachował całe plemię od niechybnej zagłady. Od wschodu bowiem i północy wdziarsli się we wnętrze lechickich rodów Waregi czyli Rusy, narzucając zdradą i gwałtem obcą, despotyczną formę rządu. Od południa Madziarowie, niedawni goście na słowiańskiej ziemi, rozplatali je na dwie wielkie połowy. Od zachodu następował Germanizm, z krzyżem w rękę dla oka, a z pogańską w sercu nienawiścią i z pokańskim społecznym urządzeniem, odziedziczonym po Rzymianach.

Otóż Chrześcijaństwo przyniosło praojcom naszym to, czego im najwięcej niedostawało, aby być narodem. Przyniosło im, w republikańskiej wtedy, ale centralizacyjnej organizacji kościelnej, wzór organizacji społecznej. Przyniosło im w słowach Zbawiciela naukę braterstwa i równości, tak dziwnie zgodną z rodzinnymi ich pojęciami. Nakoniec wskazał im cel narodowego bytu i oddzielne polityczne posłannictwo. A tym celem jest: rozwijanie dawnych wiejskich żywiołów wedle zasad ewangelicznej równości i braterstwa, — jest: Rzeczpospolita ludowa — jakiej dotąd nie było; jakiej próbkę

mieliśmy w naszej Rzeczypospolitej szlacheckiej i do jakiej dąży tegoczesna cywilizacya.

Nie na darmo przedwieczna mądrość ochroniła od jarzma rzymskiego pogańskich jeszcze praocjów naszych. Chciała znać przygotować w dalekiej przyszłości, potężną dźwignią wiejskiego demokratyzmu. Bo wszystkie Rzeczypospolite, ile stary świat ich liczy, zamykały się w ciasnych miastach i polegały na nierówności stanów. Czy spojrzysz na Ateny, czy na Spartę, czy na Kartaginę lub Rzym zdobywszy, z nieprzelicznymi niewolnikami — za senatorskim, rycerskim i gminnym stanem — czy na kupiecką Genuę i Wenecyą, wszędzie znajdziesz: miasto i niewolę! Nasza więc Rzeczypospolita, lubo tylko szlachecka, była przecież wielkim postępem ludzkości, bo urzeczywistniła choć w części ewangeliczną naukę równości i braterstwa. Na stare przysłowie polskie: „Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie“, nie zdobyłby się przed rewolucyą francuzką żaden publicysta europejski.

Polska była Rzeczypospolitą szlachecką. Odzucała ona dziedzicność tronu, odpychała eligarchija, a na jej czele stawali naczelnicy wybrani i dożywotni, związani z narodem spólnością dążności i celu. Królewskość i korona była tylko kwoli owczesnym w Europie wyobrażeniom.

Ten społeczny porządek, utrwalony za Ko-

kietka w początkach 14go wieku, położył węgielny kamień chwały, wielkości i szczęścia ojczyzny. Popchnął on Polskę o kilka wieków przodem całemu cheścijaństwu. Nastąpił u nas długi okres nieznaney innym krajom szczęśliwości, postępu i chwały. I okoliczne narody zapragnęły podobnej błogości! A nie nacił je dobry byt materyjalny, bo niektóre były od nas bogatsze — ale ono moralne podniesienie człowieka, przez które dopiero czuje, że jest nie bydłciem, — lecz istotą rozumną i samodzielnią (Pođolecki).

W swym świetnym okresie i nawet w późniejszych niefortunnych czasach, nie szczędziła Polska pracy i krwi w wypełnianiu wielkiej misji swojej. Spełniła ją pod Grunwaldem, pod Warną, Głogową, Chocimem, Wiedniem i tylu innych miejscach przeciw zaborczym najazdom Niemców, Mongołów, Turków, Szwedów i Moskali.

Miała Polska bohaterów nieustępujących męstwem i biegłością w sztuce wojennej, żadnym wojownikom świata, chociaż zdobywanie obcych krajów przeciwko się jej posłannictwu. — I żaden naród nowożytny, krom rewolucyjnej Francji, nie miał i mieć nie mógł takich wzorów cywilnej cnoty i rozumu. Nie ma prawie rozwiązania politycznych i społecznych kwestyi, uważanych dziś za nowe i nie znane, nie ma żad-

nego prawie pewnika, żadnej rozumowej teorii, którejby zaród przynajmniej, nie tkwił w przeszłości naszej. Wtedy to Długosz, choć ksiądz i dyplomata, powoływał przed bezstronny a surowy dziejów trybunał błędy i występki królów i duchowieństwa. Wtedy to, pominąwszy innych wielu a wielu, wieszcz z Czarnolasu uderzał w arfę Dawida i proroczym głosem ostrzegał rodaków. Wtedy to brzmiały kościoły apostołskodemokratyczną Skargi wymową. A jeżeli i na ściśle spojrzym nauki, choćbyśmy pominęli tylu światłych mężów, dość będzie wyrzec Kopernika imię.

Lecz przy tylu warunkach bytu i postępu dla czego upadł nasz naród, który pierwszy w Europie pojął i urzeczywistnił choć w części ewangeliczną demokratyzmu naukę? Cóż go zatrzymało czy zepchnęło z toru na drodze postępu? Cóż wtrąciło w tę przepaść niedoli, w to piekło potępienia, z którego dziś wyłamuje się i podnosi, męczeństwem w dziejach świata bezprzykładnem?

Wewnętrzne i zewnętrzne przyczyny zrzędziły ten upadek!

Nie rzucimy kamieniem na przodków naszych, za to, że w 14tym wieku nie zrobili tego, o czem Europa dziś dopiero marzy — że nie zastosowali demokratycznych zasad, w całej ich objętości i znaczeniu do ogółu narodowego. Jako

we fizycznym tak i moralnym świecie, nie ma nigdy przeskoków. Wszystko wiąże się nieprzerwanym łańcuchem; dąb musi być żołądźką nim wołbrzymie drzewo wyrośnie. — Ale wyznać należy, że już przy organizowaniu Republiki szlacheckiej, zaszczerpiono w jej ciele śmiertelną chorobę, która osłabiwszy ją w młodzieńczym i dojrziałym wieku, przyprawiła ją o przedwczesną zgrzybiałość i nakoniec o śmierć pozorną.

Chorobą tą był ów płaszcz królewski rzucony na barki dożywotniego naczelnika. Był ów blichtr korony i tronu, z rzeczywistym, dowolnym a przeto zgubnym prawem szafowania starostwami, czyli narodowym majątkiem, wynoszącym trzecią część ogólnego krajowego bogactwa.

Monarchizm czyli królewskość, ten w Rzeczypospolitej bezsens, ten zaród śmierci przy poczęciu, był głównym sprawcą naszego upadku. Ono z popiołów wskrzesił oligarchią i wykarmił ją publicznym groszem. On sprowadzał na kraj niepotrzebne, niepolityczne wojny, przedsiębrane w dynastycznych celach. On zawiązywał nienaturalne, zgubne dla nas sojusze. On nauczył oligarchów sprzedawać swą pomoc królom własnym, nim puścili na frymark sumienia i ojczyznę, za pieniądze i tytuły zagraniczne. On zrządził pośrednio ucisk chłopów; bo chociaż stany nie szlacheckie nie miały praw politycz-

nych, przecież ich byt materyalny długo był błogim i dobrym. — Dopiero nieszczęsne widoki dynastyczne i wynikłe z tąd wojny, połączone z demoralizacją szlachty przez oligarchów znurtowawszy i zniszczywszy zamożność krajową, spotęgowały ucisk i sponiewieranie stanów nie-szlacheckich. Onto przy pomocy Jezuitów, cofnąwszy wstecz oświatę, zepchnął naród z drogi postępu i wykopał ten niezmierny, bezdenny grobowiec, w który wszystko na raz runęło, i złe i dohre i poczciwe i zbrodnicze.

Oprócz onej głównej, wewnętrznej upadku przyczyny, oprócz innych pomniejszych, przyłożyły się nie mało i zewnętrzne okoliczności.

A zewnętrzną główną przyczyną, były owe po trzydziestoletniej wojnie pośrednie układy zmordowanego protestantyzmu z osłabionym, sponiewieranym katolicyzmem. Transakcyja ta została za pośrednictwem tronów zawartą i jak zwykle bywa wyzyskaną ze szkodą stron obydwu, a korzyścią pośrednika. Utwierdzona Westfalskimi traktaty, — nienależącą do nich Polkę odosobniła w Europie. Powstało odtąd nowe prawo polityczne, owa mniemana boskość tronów. Traktatem westfalskim monarchia zmieniła dawny stosunek rządów do ludów. Ogłosiła ona, że prawo do władzy płynie we krwi panujących rodzin, i tym sposobem przemieniła ludy jakoby bezrozumną trzodę, w osobistą własność królów (S. Poniński). Polska, której żywotem był po-



stęp demokracji, stała się oazą w niezmiernej pustyni despotyzmu i samolubstwa. Z tej pustyni wiał na nią piasek zarazy.

W życiu narodów jak i w życiu pojedynczych ludzi, doświadczenie nie jest niczem innym, tylko nauką z przeszłości czerpaną. A przecież byli i są tacy, którzy w uporczywej ślepotie nie chcą korzystać z doświadczenia przeszłości. Chcą oni dźwigać Polskę monarchizmem, niezważając że właśnie ten zaród monarchizmu, niebacznie zostawiony, zgubił Rzeczpospolitą szlachecką. Czynią oni jak lekarz, któryby strutego chciał leczyć trucizną!

Nie do monarchizmu uciekała się Polska w najokropniejszej katastrofie przedrozbiorowej. Kiedy za Jana Kaźmierza najazd szwedzki, moskiewski i brandenburski zalał ojczyznę naszą; kiedy szlachta, zaciemniona jezuickim wychowaniem i zdemoralizowana wpływem ożyłej oligarchii, uległa zaborcom prawie bez oporu; kiedy dumny najeźdnik szydził z elekcji królów i szczególnie zabłązawał: *ta mnie waszym królem obrała.*

kiedy jeden tylko ksiądz śmiał mu powiedzieć: *Bóg wszechmocny a fortuna zmienna!*

kiedy puls narodowego życia uderzył w jednej tylko Częstochowie pod natchnieniem Bogarodzicy;

wtedy Polska pod Czarnieckim, jak światło przed zgaśnięciem, wielką myślą zabłysła!

Wtedy król z narodem złożył ślub uroczysty, że Bogarodzica będzie królową polską, a lud z ucisku podźwigniętym zostanie!

I wyzwoliła się Polska.

Ale ówczesne już zdemoralizowane pokolenie nie mogło sprostać wykonaniu tej myśli, tego symbolu polskiej demokracji. I ta myśl przysuta dwuwiekowym pyłem, czeka pokolenia oczyszczonego poświęceniem się, męczeństwem i wiarą (Podolecki).

Nie odwali naszego grobowego kamienia jedno szczerzy powrót do rodzinnych tradycji. Dopiero gdy szeroka demokracja, będąca dziś dążnością wieku, obejmie panowanie; — dopiero gdy cały nasz Lud będzie obywatelstwem, gdy zostaniemy jednym zgodnym narodem i koronę polską, tę własność Bożej rodzicy, zawieszę na zawsze na ołtarzu, wtedy dopiero spełnim służbę przodków naszych, w prawdziwym ich znaczeniu.

Polska potrzebuje jedności i zgody. — Nie takiej, która pokrywa obojętność, tchórzostwo, pretensje i samolubstwo, ale takiej która je nielitościwie ściga we wszystkich wykrętach i wszelkie ich maski zrywa.

Nie takiej, która stojąc między niechęcią ludu a nienawiścią zaborców, roznosi tylko żale, utyskiwania — i niewidzi innego ratunku nad rozbrat z ludem; ale takiej, która swoją miłość

wyteęza, ażeby przez wyrabianie uczucia prawa i powinności, przez wykonywanie szczerze i zupełne warunków chrześcijańskiej miłości, zbliżyć lud do szlachty a szlachtę do ludu.

Nie takiej, która odrzucając wszelką myśl zmiany społecznego urzędnienia, chciałaby pokryć suknią bez barwy i koloru całą różnorodność pojęć i celów; ale takiej, która pojmuje, że jak każde zgromadzenie ludzi tak i naród bez myśli i jej wytkniętych praw, tylko wegetować może, ale nie żyć, nie działać i nie wznieść się na wysokość swego przeznaczenia.

Nie takiej, która nie ma ani mocy ani woli do zerwania z tem wszystkim, co narodowe dzieje i teraźniejsza dążność ludów europejskich potępiają — i co się chwyta wszędzie interesu kast i przywilejów; ale takiej, która się opiera na przekonaniu, że Polska uciśniona nie może być zaprzeczeniem wolności, a Polska odrodzona nie może naśladować spruchniałej budowy formy rządów na monarchizmie opartych. (M. Dembiński.)

We wolnej Polsce była tylko szlachta narodem. Milionowy lud nasz pogrążonem był od wieków w ciemnocie i nędzy. A ma przecież te same prawa jak my, do wszystkich korzyści życia społecznego. Jesteśmy wszyscy ludźmi, braćmi, dziećmi jednego ojca Boga, członkami jednej rodziny — Ludzkości.

Jeżeli ojczyzna jest matką dzieci swe miłującą, nie może pomiędzy nimi zaprowadzać różnicy. Biada tej rodzinie i tej ojczyźnie, gdzie jedno dzieci więcej pieśczoć doznają, niż drugie. Upadła nasza ojczyzna, bo wypieszczone i wyposażone przez nią dzieci herbowe w niedoli ją opuściły. I prędzej nie dzwignie się z upadku, dopóki między wszystkimi jej dziećmi równość nie nastąpi, bez względu na to, czy one się szlachtą, mieszczańinem, cz chłopem nazywają.

Upadek przez rozciartowanie i zabór kraju nie stanowi jeszcze zagłady narodu, jeżeli myśl niepodległości, która go ożywiała, nie znikła. (Zwierkowski).

Zbrodnia na Polsce dokonana, przerwała tylko był polityczny kraju, nie zniszczyła życia narodu. Nieustanne od konfederacyi barkiej o niepodległość usiłowania, sama nawet wściekła zaciętość morderców Polski, i powszechne współczucie ludów, przynoszą nieomylnie świadectwo, że naród polski żyje, że jest pewny swojej przyszłości. Polska czuje w sobie niezgasłe siły, jej wskrzeszenia żądają ludy, lękają się ciemieźcy. To więc, co nosi na sobie tak wielkie powszechności znanie, fałszem być nie może...

Lubo w szczupłym zakresie jednego stanu szlacheckiego, przez dziesięć wieków przechowywała i rozwijała Polska ideję gminowładztwa którą obca przemoc w innych szczepach słowiań-

skich zatarła. Polska sama zastawiała cywilizacją europejską od cisnących się od wschodu i południa Tatarów i Turków. A gdy na zachodzie, usamowolniona myśl ludzka, wypowiedziała wojnę staremu porządkowi rzeczy, wzniosła się na północy nowa samowładztwa potęga, usamowolnienie to wstrzymać usiłująca. Polska wierna swemu posłannictwu, jako przednia straż cywilizacyi pierwsza stoczyła z Moskwą walkę i w tej walce poległa.

Z jej upadkiem słowiańskie szczepy straciły swego reprezentanta, ludy najwierniejszego sprzymierzeńca. Samowładztwo założywszy na grobie Polski przymierze, wzmocniło swoją potęgę. Powszechne odrodzenie społeczeństw europejskich zostało wstrzymane i odroczone. Sprawa polska nie jest przeto naszą tylko domową, ale powszechną sprawą ludzkości.

Wprawdzie zachodnie narody opuściły Polskę w najcięższej przygodzie, lecz my im wyrzutu oziębłości powtarzać nie będziemy. Dzieje bowiem przekonywają nas, że ojczyzna nasza upadła nie tyle obcą przemocą, ile wadami stanu społecznego.

Kiedy naród potrzebował największego przeciwwrogom wyteżenia, już wówczas jego siły były osłabione długim bezrządem. Od dawna panowała w Polsce szlachta, od dawna sama tylko powszechne narodu życie pochłonęła w so-

bie. Pierwotna narodowa idea gminowładztwa, w małym obrębie zamknięta, potęgę swoją stracić musiała. Wolność, równość, braterswo, wspólne niegdyś wszystkim, stały się wyłącznym przywilejem stanu szlacheckiego. Lud zaś od życia politycznego usunięty, z praw wszelkich wyzuty, z własności odarty, sam zamieniony w niewolnika przykutego do ziemi, nie mógł mieć ze stanem panującym wspólnego celu. Interes szlachty i interes ludu, tak były sobie przeciwne jak wolność i niewola, dostatek i nędza. Rozdwojone siły narodowe wydały w skutku — bezsilność powszechną. Szlachta mogła zrzeczeniem się przywilejów i przywłaszczeń swoich tę bezsilność usunąć — ale niechciała. Polska więc, nie mając wsparcia w ludzie odrętwiałym w poddaństwie, wrogów swoich odeprzeć nie była w stanie.

Wszystkie usiłowania o zrzucenie jarzma zaborców, okazują niemoc szlachty i jej upór o zachowanie dawnych przywłaszczeń i przywilejów. Z drugiej strony dowodzą, że w massach ludu nie wygasły uczucia swobód i gotowości do walki o niepodległość, w miarę czynionych mu obietnic i nadziei.

Na głos Kościuszki, zawiastujący uciśnionym lepszą przyszłość, rzucił się lud do broni. Lecz wstręt szlachty do wszelkich występstw i reform społecznych, zniweczył najwznioślejsze przedsięwzięcie.

Rewolucya 31 roku też same przeszkody i tenże sam koniec znalazła. — Niestósowność obranej pory, ogrom sił wroga, błędy wojenne, szóstkowe zdrady, nieprzychylność mocarstw sąsiednich, a tem bardziej zawód w obcej pomocy — są to przyczyny jej upadku, albo podrzędne, albo bezzasadne. Główny powód zmarnotrawienia tylu wysiłków, leży całkiem w zata-mowaniu ruchu i nadaniu mu wstecznego kierunku. Dziedzice przesądów i spadkobiercy przy-wilejów, postrzegli zaraz w pierwszej chwili, iż przywłaszczenia ich podkopane i wywrócone być muszą, jeżeli kierunek powstania zwicnięty nie będzie. Chytrze ujawszy przeto wodze rządu, zmienili ruch rewolucyjny w prostą kampanią militarną. I zamiast poruszyć lud i całą siłą narodu uderzyć na wroga, woleli rzucić się w objęcia obłudnych dyplomatów, woleli żebrać pomocy u samych spółzaborców Polski z wrogiem nawet wchodzić w układy, — woleli sprawę ojczystą zabić, jak rozstać się ze swemi przywłaszczeniami. Tak niecnem postępowaniem osłabili w narodzie wiarę we własne jego siły, ostudzili zapał, zniechęcili odwagę. Polska widziała we własnych synach i obrońców — i katów swoich. Raz jeszcze nie prostą przemocą hord najezdniczych, ale samolubstwem uprzywilejowanych zamordowaną została.

Tymczasem na okrzyk rewolucyi listopado-wej pierwotne drgnienia ludu zapowiadały przy-

szłość najpomysłniejszą. I gdyby ruch nie był wstrzymany, przyniosłby był nieuchronne następstwa swoje. Musiałoby nastąpić powszechne usamowolnienie, zapaliłaby się wojna prawdziwie narodowa i sprowadziłaby zwycięstwo ojczystej sprawy. Lud byłby powstał, byłby uzbroił silną dłoń w żelazo, byłby pogromił wrogów bez obcej pomocy, a Polska byłaby na szczęście powszechnem udziałem swój ustaliła. Nie ma bowiem siły, któraby cały, dwudziesto-milionowy naród, węzłem wspólnych swobód złączony, pokonać i ujarzmić zdołała.

Tą myśl zbawienia przeczuwał lud polski, a młode umysły umiały pojąć całą jej doniosłość. Taż sama myśl z wielkiego rozbitcia ocalona, przeniosła się zagranicę, aby wśród oświeconego zachodu dojrzeć w emigracyi, i kiedyś w całej sile rozwinąć się w kraju, przez pracę w duchu zasad gminowładczych nad usamowolnieniem ludu, a przez lud nad odzyskaniem niepodległości kraju. (Heltman.)

Polska więc niepodległa, na zasadach gminowładczych wskrzeszona, oto cel, który sobie wytknęło Towarzystwo demokratyczne. W Manifestie tego związku czytamy dalej :

Nie jeden ułamek narodu, ale cała Polska zdolną jest samoistny byt swój utrzymać. Traktaty mniemaną niepodległość działów warujące, potargał już naród w obliczu świata, pogwałcili



je także zaborcy. Umowy sprawców rozbioru Polski, nie mogą obowiązywać Polaków, bo oni ze zaborcami w żadne nie wchodzili układy, a przeciw narzuconym im warunkom zanosili krwawą protestacją.

Odrodzona Polska będzie ludową. Wszyscy bez różnicy wyznań i rodu, odbiorą umysłowe, polityczne i socyalne usamowolnienia. Nowy porządek na zasadach równości oparty, zajmie miejsce bezrządu, któremu zaborcy nazwisko praw nadają. Wszechwładztwo wróci do ludu. Stan szlachecki niegdyś panujący rozwiąże się ostatecznie, stanie się ludem. Wszyscy będą równi, wszyscy wolni, wszyscy dziećmi jednej matki ojczyzny.

Niepodległa tylko i ludowa Polska zdolną jest :

posłannictwo swoje spełnić ;  
absolutyzmu przymierza rozerwać ;  
jego zgubny wpływ na cywilizacją zachodu zniszczyć ;

demokratyczną ideję wśród Słowian, dziś za narzędzie ujarznienia służących, rozszerzyć ;  
tą ideją ich złączyć ;

a przez czystość i siłą ducha swojego, dać nawet początek powszechnemu usamowolnieniu europejskich ludów.

Dla odzyskania niepodległości, Polska ma w łonie własnem olbrzymie siły, których dotąd

żaden głos sumienny i szczery nie wywołał jeszcze. Nietknięta to prawie a straszna potęga, równie zewnętrznym jak wewnętrznym nieprzyjaciółom. Nią Polska powstanie.

Lud polski, ciemnotą, nędzą i niewolą przyciśniony, wydartą mu przed wiekami ziemię uprawia dotąd w krwawym pocie na cudzą korzyść. Przez niego cierpiąca i znieważona ludzkość woła o sprawiedliwość. Na głos ten głuchymi byli wewnętrzni ujarzmiciele. W chwilach usiłowań o niepodległość, chcieli oni dźwiękiem słów o miłości ojczyzny, nakarmić lud niedostatkiem dręczony. Chcieli aby lud krew swą przelewał za ojczyznę, która przez tyle wieków pracę jego nagradzała wzgardą, poniżeniem i nędzą. Wołali aby powstał i najeźdźników zniszczył — oni, którzy sami byli najeźdźnikami praw jego. Dla tego na obłudne ich wołania słabe tylko echo odpowiadało — i upadliśmy.....

Gdy lud w sumienny wymiar sprawiedliwości uwierzy, i potęgą swoją z całym poświęceniem rozwinie, a wszyscy, bez różnicy wyznań i rodu chwycą za oręż, naród polski jest w stanie zburzyć i zniszczyć krolicyą całej Europy, tak jak ją zniszczyła Francya wtenczas gdy się dobijała wolności.

Dla ugruntowania odzyskanej niepodległości na ludowych zasadach, Polska ma również w łonie własnem narodowe żywioły. Idea

demokratyczna najprzód w szczepach polańskich rozlana, potem w stanie szlacheckim rozwijana, łatwo napowrót wcieloną być może w lud, który mimo długą niewolę i ucisk, zachował jeszcze ślady dawnego gminowładztwa. Cierpiąca u nas ludzkość nie jest podobną do cierpiącej ludzkości zachodniej Europy. Nie zaraziły jej zepsucie i samolubstwo uprzywilejowanych. Jest w ludzie dotąd prostota, jest prawość i poświęcenie się, są religijne uczucia, czyste i łagodne obyczaje. Na tak nieskazonym i świeżym jeszcze gruncie, łatwo zozkrzewi się starożytne, n a r o d o w e drzewo równości, pielęgnowane sumienną ręką braterstwa i wolności.

W Polsce więc są wszystkie warunki odzyskania niepodległości. Ona sama zdolną jest własnymi siłami powstać, najeźdźników zniszczyć, jarzmo wewnętrzne złamać i na trwałych, gminowładczych zasadach byt swój ugruntować.

Oprócz sił własnych, ma Polska także naturalnych sprzymierzeńców. Ile razy Polska rozpoczynała walkę o niepodległość, każde jej zwycięstwo przyjmowane było okrzykami radości i uwielbieniem przez inne narody. Przedstawiciele uieszczeń i nadziei naszego narodu, znajdowali dla siebie wylane serca i współczucie całej Europy. Z nieśmiertelnym duchem Polski przymierzyły się ludy i bratnie sobie podają ręce. Dla tego też my przekonani, iż podsycane dawniej

nienawiści narodowe zupełnie zaginą, wierzymy w ludów współdziałanie, oparte na powszechnem braterstwie i wspólnej potrzebie usamowolnienia.

Dyplomatyczne układy nie przywrócą Polski. Monarchiczne wojny sprawiedliwości ludowi nie wymierzą. Jednakże ojczyzna jest nam tak drogą, iż z żadnego wypadku, z żadnej przyjaznej okoliczności korzystać niezaniebamy. Ogarniemy przeto wszystko co sprawie naszej w czemkolwiek użyteczne być może; co osiągnięcie wolności ułatwić lub zbliżyć jest zdolne. (z Manifestatu).

\*

\*

\*

Moi panowie! mówił dalej Mittelstaedt — przedstawiłem wam sumienny i niedwuznaczny, w najzwęższej formie ujęty wykład: zasad, celów i środków demokratów polskich. Któżby — pytam was — co posiada kapkę oleju w głowie, a nie jest niepoprawnym samolubem, na te zasady się nie godził?! Przyznam się Panowie że ja — Mittelstaedt' — pochodzący z niemieckiej rodziny, wyznaniem tej politycznej wiary zostałem w sile wieku tak przejęty, iż nie wahałem się, idąc za popędem serca, rozumu i za prądem czasu, stanąć w szeregu polskich demokratów. I w 48 roku wziąłem udział we wal-

ce ich przeciw absolutnej władzy z tą błogą myślą i nadzieją, iż przelewając krew swą, jak tego dałem przykład, dla idei polskiej, przysłużę się dobru Ludzkości.

Młodzież polska ucząc się od wrogów w szkołach fałszowanych dziejów, ojczystych, nie mogła sobie wyrabiać jasnych pojęć zasad narodowych. Wyciągała przeto ręce do braci na wygnaniu, błagając o naukę tych, co i swobodnie rozmyślać i zasady narodowe kształcić mają sposobność. Myśli przez emigrantów wyrabiane i sobie podawane chwyciała z chciwością, chroniąc je przed podsłuchem wrogów.

Prawdy głoszone na emigracyi przez demokratów, wypowiadających otwartą wojnę przesądom i kastom, utrzymującym kraj cały w niedoli kosztem upośledzenia ludu, przechodziły do uczuć, wsiąkały w krew rodaków w kraju.

Demokracja głosiła na obszernych ziemiach Polski miłość ludu, jako jedyną dzwignię z upadku. Swe zasady równości i braterstwa głosiła nietylko pismem, które tysiącami przez kordony się przeciskały, lecz przeciw przesądom szlachty walczyła także słowem i czynem.

Już w marcu 1833 roku, zagorzalsi emisariusze szkoły demokratycznej udali się na własną rękę, pod wodzą pułkownika Zaliwskiego, w

zabór moskiewski celem wywołania nowego powstania. Głosząc równość, wolność i niepodległość między chłopami, mniemali pozyskać, zbuntować i zapalić cały lud polski do walki z najeźdźcami. Liczyli także wiele na byłych żołnierzy polskich z ostatniego powstania, wcielonych na kilka miesięcy poprzednio w szeregi moskiewskie. Były to porywy bohaterskie lecz bezskuteczne. Chłopi polscy poglądali na tych emisaryuszów z niedowierzaniem. Wychowani w ciemnocie i nienawiści do szlachty, trudno im było oswoić się z myślą, żeby ci ludzie, sami szlachcice, mieli na prawdę, bez żadnych skrytych zamiarów, równać się, bratać i łączyć z chłopami przeciw wspólnemu wrogowi. Z wyjątkiem jednostek lud się nie ruszył. Emisaryusze pochwytni przez Moskali zakończyli te bohaterskie porywy na szubienicach.

Poświęcenie tych zapalonych patriotów zaczęło jednakże w kraju kiełkować. Od 33 do 46go roku liczni emisaryusze, wystawiając się na śmierć niehybną, przebiegali Polskę pod trzema zaborami, głosząc po chatach i pałacach ewangelią braterstwa, wskazując drogę prowadzącą do oswobodzenia całego narodu. Tworzyły się w tym czasie w kraju liczne tajne towarzystwa i związki mające za cel odbudowania ojczyzny. Pochop do nich szedł zawsze z emigracyi. Kraj nie mógł, bo nie umiał, organizo-

wać się i wypełniać należycie swych obowiązków. Najazd potargał w nim dawny porządek i układ społeczny. Tradycja utrzymania bytu społecznego i zawiadowania sprawą publiczną, została w nim już zatartą. Chcąc coś w społeczeństwie na tle dziejowem poprawić, lub też coś nowego na tle narodowem utworzyć, trzeba mieć swobodę badania własnych dziejów i swobodę objawiania swych myśli, a tego pod zaborami czynić nie było wolno. Emigracja więc tylko mogła w tej pracy kraj zastępować i wyręczać.

Towarzystwu demokratycznemu, jako znającemu najodpowiedniej stan rzeczy, położenie: potrzeby kraju, pozostawionem było przyjąć na siebie ten ciężki do spełnienia obowiązek. Nie głosiło ono żadnych oderwanych zasad, nie filozofowało, nie mędrkowało — lecz istniało jako związek polityczny, spełniający praktycznie i czynnie swoje zadanie. Stanowiło ono niejako sejm nieustający — w imieniu ojczyzny za granicą na wolnej ziemi obradujący. Było zarazem i rząd tymczasowy, wszystkie władzy atrybucye w sobie centralizujący. Aby mieć w potrzebie zdobnych wojskowych i administratorów Towarzystwo łożyło nawet na zdolniejszych członków celem wydoskonalenia ich we wyższym zawodzie wojennym i administracyjnym.

Zanim Polska niepodległą będzie, musi przechodzić przez trzy różne epoki: epokę przygo-

towawczą, epokę walki o niepodległość i epokę wewnętrznej organizacyi układu społecznego.

W pierwszej epoce należy wskrzesić, jednym węzłem połączyć i do działania przysposobić wewnętrzne siły kraju.

Następnie trzeba stoczyć walkę o niepodległość z wrogiem zewnętrznym, aby się wydstać z pod jego jarzma.

Gdy i to dokonane nieunikniona konieczność zabrać się do wewnętrznego urządzenia kraju — i to tak, aby stary szlachecki układ społeczny — przez zaborców już zniweczony i czasowi nieodpowiedni — bez gwałtownych wstrząśnień, zamienić na nowy porządek ludowy.

Towarzystwo demokratyczne obmyśliło przez wiele lat pracy wszystkie warunki i czynności do tych epok się odnoszące.

Czynności przygotowawcze w kraju, wymagające utrzymania tajemnicy, powierzono jawnej centralizacyi, złożonej tylko z małej liczby osób, znanych z prawości i niezłomności charakteru.

Czynności dwóch drugich epok omawiano publicznie, przez rozbiór kwestyi polityczno-społecznych, na zebraniach jak i przez różne pisma. Władzę, przyszłem powstaniem kierować mającą, pojmovano, nie w sejmach, sejmikach,



klubach lub tajnych rządach, lecz jako władzę skupioną w jednym ognisku, mogącą rozwinąć największą sprężystość i szybkość w działaniu. Dla wydoskonalenia wojskowych wydawano instrukcje, regulamina i kurs sztuki wojennej.

W trzeciej epoce wewnętrznego urzędzenia, tylko cały naród głos zabierać ma prawo.

Demokraci, którym nie o władzę, lecz głównie chodziło o myśl mogącą wskrziesić ojczyznę, ograniczali się więc tylko na zbiorowych rozprawach lub projektach jednostek omawiających przyszłe urządzenie Polski. Starano się także o specjalne wykształcenie fachowych ludzi, w organizacyi narodu czynną pomoc ojczyźnie przynieść mogących.

Kiedy myśl zbawienia Polski już dostatecznie w kraju przez emisaryuszów upowszechnioną i wyrobioną być się zdawała, przystąpiło towarzystwo demokratyczne do czynu.

Wyznaczono na czas walki dyktaturę zbiorową, której prezesem przypadło być Karolowi Libeltowi, a więc najdzielniejszemu Polski obywatelowi. Obrano wojskowych, opatrzonych w zgodne instrukcje działania na wskazanych przez sztab punktach strategicznych — wyznaczono termin ogólnego powstania na 21go lutego 1846 roku.

Podług nakreślonego i przyjętego planu,

oddziały powstańcze, sformowane w zaborach pruskim i austryackim, miały wtargnąć w zabór moskiewski. Rachowano głównie na lud wiejski, który starano się pozyskać, aby w pierwszej chwili gnieść rozproszonego wroga liczebną siłą — zanim on się skoncentruje a tymczasem powstańcy wyrobią się na żołnierzy. W Poznańskim pod Krakowem i w Tatrach, gromady ludu okazały się owiane duchem patryotycznym.

Ludzki rozumem nieprzewidziane odkrycie tajemnicy przez płochość kobiety, żony magnata lecz patryoty do spisku należącego, zwichnęło w zarodzie to na szerokie rozmiary przygotowane powstanie. W Poznańskim zostali najgłówniejsi spiskowcy, w liczbie na setki dochodzącej, niespodzianie pochwytni i powięzieni. Ośmiu z nich, między nimi Libelt i Mierosławski, zostali na śmierć skazani.

Gorzej jeszcze poszło we wschodniej Galicyi. Tamtejsi urzędnicy, niemal sami Niemcy i Czesi, zauważyli przed wybuchem powstania niezwykły ruch pośród mieszkańców. Z polecenia władzy, kanclerza Metternicha, wyzyskali ten ruch, rozgłaszając chłopstwu, że szlachta szykuje się, aby chłopów zgębić, poddaństwo utrzymać a opornych pomordować. Otumanione a ciemne chłopstwo, podstępem w tem niedopatrując, zagrzane przez Szełę, płatnego urlopnika,

napadło na dwory w okolicach Tarnowa i pomordowało do ośmset, głównie szlachty demokratycznej, która z ludem chciała iść na wspólnego wroga. Wkrótce chłopci się upamiętali, a spostrzegłszy popełnioną w zaślepieniu pomyłkę, wielu z nich z rozpaczą się obwiesiło.

Dnia 20go lutego, o jedną dobę po rzezi galicyjskiej, wybuchło powstanie we wolnem mieście Krakowie, gdzie o zaszłych smutnych wypadkach jeszcze nie wiedziano, Tu kierował ruchem Jan Tyssowski, członek dyktatury. Już w dwa dni później przyłączył się do powstania oddział Skarżyńskiego, złożony z 5000 uzbrojonych chłopów i kilkadziesiąt szlachty konno. Ta liczba zebrana z niesłychaną szybkością na bardzo szczupłej przestrzeni kraju, świadczy najwymowniej o tem, że głoszone przez demokratów zasady, i wskazywane przez nich środki wskrzeszenia ojczyzny, nie były płonnemi.

Tyssowski wydał manifest do narodu polskiego i ustanowił jawny rząd narodowy. Lecz na osamotnione i odcięte powstanie krakowskie rzuciły się aż trzy wojska, moskiewskie, austryjackie i pruskie. W obec takiej przewagi powstańcy złożyli broń w ręce Prusaków.

Nie ziszczyły się pokładane nadzieje w zamierzonej rewolucyi polskiej 1846go roku. Ale garstka ludzi poświęcenia, rzucając się

z bronią w ręku niespodzianie na wroga, okazała światu:

że Polacy wierzą we własne siły i o nich dzwigać się postanowili,

że zbawienie swoje oparli na silnych ramionach całego ludu polskiego;

że podnieśli walkę o wolność całego narodu — nie tak, jak w 30 roku: walkę żołnierzy polskich z wojskiem moskiewskim; nie o wolność Polski, lecz tylko o konstytucyą nadaną Księżtwu warszawskiemu.

Chociaż oswobodzenie Krakowa było tylko chwilowe, wstrząsnęło silnie duszami wszystkich prawych Polaków, usposabiając ich do brania pod rozwagę sprawy narodowej i do nowych usiłowań.

Ludy Europy przyjęły z niesłychanym zapalem wiadomość o przedsięwziętej rewolucyi Polaków, zanoszącej krwawy protest przeciw gwałtowi na Polsce popełnionemu. Polska znalazła w nich sprzymierzeńców, przestała być sama sobą. Czociaż powstanie klęską się skończyło, przyniosło w następstwie dobroczynne skutki.

Te skutki pokazały się zaraz w dwa lata później.

Zachęczone przykładem Polaków, wszystkie ucywilizowane ludy Europy zapragnęły wolności.

Nastąpiła ogólna ludów rewolucya w roku 1848 przeciw własnym absolutnym rządóm. Wten czas to zwycięzki naród niemiecki, oddając hołd nieśmiertelnemu duchowi Polski, uwolnił w Berlinie z więzienia skazanych na śmierć Polaków, wiodąc ich na tryumfalnym wozie przed monarchę, aby wyrok skasował, co też nastąpiło.

Pod wpływem tych wypadków utworzył się w Poznaniu komitet narodowy. Z więzienia uwolniony i od śmierci ułaskawiony przybywa Mierosławski z Berlina do Poznania, gdzie zostaje naczelnym wodzem okrzyknięty.

Na hasło „wojna z Moskwą za niepodległość Polski“ zbiegły się w poznańskim na różnych punktach tłumy powstańców, razem około 35 tysięcy. Było lud polski — przeważnie chłopci ze wsi, prowadzeni przez zdemokratyzowaną szlachtę. Niemcy, upojeni z początku zwyciężką rewolucją we własnym domu, mieli zamiar Polakom dopomódz. Trzeba było zaraz wkroczyć w zabór moskiewski, aby wyzyskać panujące tam przerażenie z powodu ogólnej rewolucyi w Europie. Ale pomiędzy szlachtą poznańską, jak to zwykle między szlachtą bywa, nastąpiły narady, sejmiki, konszachty, a w następstwie zupełna rozterka.

Szlachta krótkowidząca a podszczuta przez dyplomatów à la Targowica, zgodziła się

ograniczyć na Królestwie czy wolnem Księztwie poznańskiem, z wojskiem poznańskiem a królem pruskim na czele. O całą Polskę już jej nie chodziło. Z Berlina po rozprawie także inny wiatr zawiął. Rozkazano obozom się rozjechać — z tąd przyszło między powstańcami a pruskim wojskiem do starć krwawych, w których, jak pod Miłosławiem i Wrześnią, polscy powstańcy pokonali 2 i 3 razy liczniejszego nieprzyjaciela, w obrotach wojskowych wywiczzonego.

Powstanie się rozprzeszło pod naciskiem zbuntowanej szlachty, która do wojskowej karności nie nawykła, pouciekała do domów, ciągnąc innych za sobą.

Rok 1848 dał nam w każdym razie przykład, że lud polski gotów się poświęcić dla sprawy narodowej, byle go do tego po bratersku wezwano. Z drugiej strony na przyszłość naukę nam pozostawił, iż w chwili, kiedy oręż rozstrzyga o losach narodu, domorośli dyplomaci pojsć w kąty, a sejmikowicze zamilknąć powinni.

Lud da się poruszyć. On i bez emisaryjuszów i bez spisków, z własnego popędu w obronie swej doli ruszał się już gromadnie. W czasie wojny krymskiej widząc moskali w opałach, na samą wieść, że pod Czaykowskim wkroczą wolni kozacy z Turcyi na Ukrainę, powstał taki

ruch między ludem, iż w okolicach Korsunia i Białocekwki zebrało się chłopstwa 60 tysięcy. Te gromady zostały, rzecz jasna, przez moskali wykartaczowane. Chłopstwo liczyło na to, że szlachta stanie na czele, ale się zawiodło, a samo do prowadzenia wojny nie miało rozumu. W obozie znaleźli się z inteligencji jako przywódcy tylko jeden polski szlachcic, jeden za- możny młynarz i jeden żyd dziedzic — to wiele, wiele, — za mało.

Szlachta nie tylko od ruchu się usunęła i pociękała, lecz byli nawet tacy, co się moskałom za szpiegów wynajęli, prowadząc woj- sko po znanych drogach na chłopów rusinów.

Lud już nieraz okazywał pohop do walki na zabój z moskałem, którego nienawidzi, lecz albo przez swoich odepchnięty, albo zdradzony został. I dziwić się, że do szlachty i w ogóle do tak zwanej inteligencji nie ma zaufania.

Żeby lud do wspólnej akcji pociągnąć, trzeba było go poprzednio do tego przysposo- bić. Trzeba było poprzednio wyznaczyć przy- wódców, aby wiedział z góry kogo ma słu- chać. Chłop jest realistą. Dla niego trzeba coś namacalnego, żeby uwierzył; trzeba do nie- go przemawiać, że tak się wyrażę — z konia. Przytem musi do którego przemawiać swój — to jest naczelnik, którego osobiście lub z posłuchu zna i do którego ma zaufanie.

Moi panowie! wy co tworzycie tajne rządy

Bartek Nowak.

narodowe! — ja wam szczerą prawdę w oczy wypowiadam. Wasza tajemniczość wywiera urok na guwernantki, bony, modystki, kelnerki — no — dajmy na to, i na wszystkie inne w romansach o błędnych rycerzach zaczytane ładne panny i mężatki. Tylko umysły o bujnej imaginacyi stawiają was na piedestałach bożyszczów narodowych — lecz chłopom niewidzialną potęgą nie zaimponujecie. Ogłosiliście uwłaszczenie — i cóż z tego? Oni się z was naigrawali, że dajecie drugim, co nie wasze — a nie macie siły, żeby nią poprzeć swoją powagę. Waszego rozkazu i głosu chłop nie posłucha. Nie poruszy go i szlachta, chociażby na koń siadła. Już ten czas przemnął i pora nie po temu. Nie powiem, żeby chłopci patrzeli na mnie z ukosa, lecz i tacy jak ja nie nie pomogą. Wsiądę ja na koń, pójdą za mną ci panowie, co tu siedzą przy stole, pójdzie może lokaj i foryś — lecz chłopci powiedzą: patrzcie! nasz stary zwarjował, — i w domu pozostaną.

Powiecie panowie: a więc nie ma dla nas żadnego już ratunku i żadnej nadziei?!

Tu Mittelstaedt urwał mowę i wsparty na łokciach zadumał się na chwilę — a potem cichym głosem dokończył:

Taczanowski usiłuje poruszyć masy ludowe, lecz to mu się nie udaje, chociaż między ludem już znany.

Innych dowódców zabiegi tak samo bez-



skuteczne. My dziedzice — nie mamy głosu i zaufania. Udajcie się panowie po radę wprost do chłopów! Jeżeli znajdziecie takiego, co się oświadczy za pospolitem ruszeniem, i podejmie się dać chłopom hasło do boju z moskalem — wtenczas powiem: jest jeszcze nadzieja. Wtenczas i ja stanę w szeregach i usłucham rozkazu chłopca — inaczej ani rusz!

Mamy i między chłopami mężów z rozumem i hartem duszy. Jest sobie taki Czerwiński w Lubaniu — jest Bartek Nowak w Słupach — Kulpa w Ułomiu — jest Wolski, stary szlachcic, co ma mir u ludu, — jest ich wielu innych po różnych powiatach. Po nitce dojdziecie do kłębka. Z nimi pomówcie — ich rady zasięgnijcie, bo oni kierują ludem — a nie my.

A teraz Państwo! idźmy na spoczynek, bo już świta.

## II.

W myślach pogrążeni rozeszliśmy się do przeznaczonych sypialni. Mieszkalem w pokoju balkonowym; ze mną poszedł Lipiński.

Rzuciłem się nierozebrany na łożo, lecz zasnąć nie mogłem. W głowie mi się mąciło, gdy rozważałem słyszana dysputę. Może po godzinie zerwałem się na nogi; już też i dniało. Lipiński także nie spał, przemówił bowiem do mnie:

— To za rano, kawalerze — dziś święto!

— Daleko do Słupów? zapytałem.

— Do Słupów będą dobre cztery mile; czy chcesz tam jechać? czy znasz Nowaka?

— Chciałbym go odwiedzić — to mój znajomy, nawet powinowaty. Widziałem go przed powstaniem na weselu siostry w Poznańskim.

Nikt ci nie zabrania; możesz jechać. Tylko *smyrno!* hamować język. Po drodze oczy w lewo i prawo, żebyś czasem nie popadł na morskali. Na jutro rano się stawić, bobyśmy bez ciebie nie dali sobie rady.

— A jakbym się trochę spóźnił? Co znowu! przecież bez jednego wojna się obędzie!

— Nie obędzie! Widzę ja co się w okół święci. Chłopi się buntują. W Sokołowie i Kruszynie już siadli na koń i pojechali do morskali do Włocławka.

Użyją ich przeciw powstańcom, a nas stary radzi im miodem smarować, kiedy już za późno. Już i nasi chłopci patrzą na mnie z podębła, ekonomów nie słuchają, coraz krnąbrniejści. *A propos* powiedz mi, co ty masz za talizman na nich? Jesteś tu zaledwo dni kilka czy kilkanaście — gęsi im w szkodzie zastrzelasz albo zaszczuwasz — batem wykropisz — mimo to ciebie tylko słuchają, jeszcze w ręce całują i w kumotry proszą.

Albo w niedzielę — co to była za awantura przed kościołem? Podobno do chłopów miałeś

perorę, żeby szli na moskali? Oni mieli być gotowi, byłeś ich prowadził. Pękać trzeba ze śmiechu! — jedni do lasa, drudzy do Sasa. Ja zupełnie głowę tracę! Powiedz mi, czyś ty czarownik czy co, u licha?

— Nie znam się na czarach! — odrzekłem. Zwyczajnie, ludzie prości wiedzą, że chociaż jestem popędliwy, i kiedy który zawini, to go batem liznę — tak sobie, z łaski na uciechę — lecz nikomu krzywdy nie wyrządzam. Mam z domu kilkadziesiąt talarów - to jeżeli im gęś w szkodzie zabije, zaraz ją zapłacę. Chłop naję się gęsiny, kobieta ma pierze na pościel, pół rubla w dodatku — i co im za krzywda? Chłopi nawet radzi, że im mięsa dostarczam — dla tego, za karę, cenę na dwa złote zniżyłem. W kumotry do Kuźmy sam się wprosiłem pod warunkiem, żeby mi wybrał najładniejszą w okolicy kumoszkę. Wziąłem to za żarty, a on mi do nóg — i zgoda! Wieczorem byłem na chrzcinach; przysiadłem się do Kuźminy na łóżku, wetknąłem w rękę dukata; babie dałem pół rubla; kumotrowi kupiłem dwie flaszki likieru; kumoszce z Lubrańca pierników, najadłem się z nimi gęziej wątróbki — i kumoterstwo zrobione. Co dotyczy owego harmidru przed kościołem, tego nie wywołałem, tylko nasi rzemieślnicy z fabryki.

Kiedy wyszedłem z kościoła, przestąpili mi drogę kośnicy, przymawiając się o piwne

przyobiecane im za to, że mnie przy koszeniu obłożyli. Było kośników przeszło dwudziestu, a może dwa razy tyle ich krownych i znajomych. Nie wiedząc, jak ich datkiem podzielić, zaproponowałem im kupienie w karczmie wódki i piwa, aby się każdemu porówno dostało. W gościńcu była ciżba. Zgodziłem się przeto z karczmarką, żeby beczkę piwa, sudek wódki, chleba i kielbasy dostarczyła dla moich ludzi na wolny plac przed oberżą. Nasi rzemieśnicy nuże się do mnie żalić, że wszystko w karczmie wyknpię, a dla nich nic nie pozostanie. Ja na to: dopóki starczy, pijcie i wy z jednej beczki i z jednego sładka wspólnie, po bratersku. Chłopi proszą ich, żeby wspólnie, pili, oni też na to jak na lato. Z tego do owego zaczęła się dysputa o powstaniu, i ni z tego, ni z owego, gotowi byli iść pod Czamanin. Możeby i do tego przyszło, tylko niestety, jeden z powstańców ząrczył, że z tamtąd powraca, bo tworzący się oddział powstańczy pod Czamaninem już rozpuszczony. To było wszystko.

— Jak ja widzę, mój kawalerze, z ciebie prawdziwy buntowczyk. Oj! strzeż się moich, bo ja ci zapowiadam, gdy cię dostaną, to cię zastrzelą, jeśli nie powieszą — śmiejąc się zauważył Lipiński.

Po śniadaniu wyjechałem na Osięciny do Słupów, biorąc Kuźmę ze sobą. Kiedy stanąłem w Bątkowie nabożeństwo jeszcze się nie

skończyło. Wstąpiłem do kościoła, spodziewając się, iż trafię tu Nowaka. Był w kościele. Po nabożeństwie ujrzałem go rozmawiającego z jakimś Kalksteinem, który nosił rękę w bandażu, był bowiem ranny w którejś potyczce. Przyśtałem do nich i z Bartkiem się przywitałem. On mnie przywitał niemal temi samemi co Mittelstaedt słowami:

— Pewnoś rzucił książki pod ławę i przyszedłeś Polskę zmartehwychkrzeszać? Szarki nie żartują. Spytaj się tego pana, jak to boli, gdy Kozak lancą w ramię lub pod żebro polechce.

Po krótkiej rozmowie wstąpił na chwilę do proboszcza po gazety. Kiedy wyszedł, udaliśmy się ku wyjściu ze cmentarza. Po drodze zatrzymywał się jeszcze, witany przez różne gromadki włościan, okazujących mu widoczne uszanowanie. Tymczasem, zbliżony do furty, podsłuchiłem rozmowę Kuźmy obstąpionego przez ciekawych parobczaków.

— Powiedzcie mi, krzesny, co to za świ-stak, co się z naszym Nowakiem przywitał, pyta jeden.

— To mój kumoter! odrzekł Kuźma z powagą, potrzebując z kozła biczykiem.

Wszyscy w śmiech.

— Co się śmiejeta? Jeśli to nie prawda, to się zapytejta! — plusnął im w oczy rozgniewany.

- A z kąd on jest? spytał drugi.
- Zkąd ma być? z Dąbia.
- A pociąta tu przyjechali tak daleko?
- A wam kaci do tego!
- Co on w Dąbiu robi? pyta inny.
- Co robi, to robi. Co ma robić? Jaś-

nie paniczom mówi ty — jeździ konno jak opętany — rów nie rów, płot nie płot, gęsi ludziom zastrzela albo zaszczuje, batem wykropi — zwyczajnie gospodarzy. To nasz gubernator. Ale to dusza panicz, na palec go owinąć kiedy dobry. To chyba kleryk z akademiji — bo jużści nie co innego, — zakonkludował mój kumoter Kuźma robiąc minę poważną.

— To nie jest tutejszy! zauważyli inni.

Postąpiliśmy z Nowakiem do mej bryczki, jego bowiem już odjechała. Parobczaki się rozstąpili, stając do nas frontem jakby jakie wojsko do rygoru nawykłe.

Wspominam o tem, ponieważ owa chłopska rekomendacya, przez Kuźmę nie raz pierwszy, nie ostatni i nie w jednej miejscowości wygłoszona, nie raz mi w pomoc przychodziła.

— Co robi stary kołtun (tak zwano Mittelstaedta), spytał mnie Nowak w domu, kiedyśmy zasiedli do pogadanki.

Opowiedziałem mu szczegółowo jego rozmowę z komisarzem Rządu Narodowego, której byłem świadkiem ostatniego wieczora. Nowak słuchał spokojnie, a kiedy skończyłem,

zdał się być tak obojętnym, jakoby to, co odepnie słyszał, nic go nie obchodziło. Rzekł tylko:

— Te wszystkie ich zabiegi i projekta zdadzą się psu na budę. Szkoda tylko niewinnej krwi, którą na próżno przelewają. Chłopów poruszyć... chłopów poruszyć... to zabawne! Wiesz ty, co znaczy chłopów poruszyć? Wiesz ty jaka z tego burza mogłaby wyniknąć! Poruszyć nie tak trudno, ale potem niełatwo w karcach takie tłumy utrzymać!...

Niedokończył swej myśli, urwał nagle mowę i jakby nic go nie obchodziło, wyszedł ze mną w podwórze, pokazał olejnią, oprowadził po budynkach, i poszliśmy w pole aż do granicy od Łowiczka. Tam siedliśmy na krawędzi brzoźowego lasku, gdzie dopiero wyjął gazety z kieszeni, dając mi je do czytania na głos. Był to „Dziennik Poznański“ i jakieś rozporządzenie Rządu Narodowego. Kiedyśmy skończyli czytanie rzekł Nowak:

— W tem co piszą, połowa prawdy, a może i mniej. W każdym razie widocznem, że poświęcenie młodych ludzi jest bardzo silne, kieną całej przestrzeni kraju tworzą się oddziały powstańcze, biją z moskalem i marnie giną. Czy was ślepotą opanowała za grzechy ojców, czy co? bo ja tego wszystkiego, co się w okół dzieje, dobrze nie pojmuję. Co wy młodzi ludzie, z których każdy chciałby i mógłby zostać

oficerem... co wy chcecie dokazać. Zrobiliście powstanie — kryjecie się po lasach już kilka miesięcy — Moskwa robi na was naganki, tłucze i zabija jak rozbite stada kuropatw... i na czem to się skończyło, ta wasza partyzantka? Oficerów i różnego kalibru urzędników więcej niż karabinów, nawet porządnych lanc dotychczas nie wystrugaliście. A wojsko nasze gdzie? czemu go dotychczas nie stworzyliście? Kto wami dowodzi — kto wami rządzi? Czy ja się nie przypatrzył, jak to było pod Krzywosądzem?

— Czy wście tam byli? spytałem.

— Gdybym nie był, tobym o tem nie wspominał. W potyczce, co prawda, udziału nie brałem... po co mi, kiedy naprzód przewidywałem, co się z tego wywiąże. Ale byłem tam przed samą bitwą, rozmawiałem z ludźmi, których tam zastałem, a co widziałem i co słyszałem, przechodzi ludzkie pojęcie. Takiej podłości, jakiej tam byłem świadkiem, rzadko w której kronice możnaby się doczytać.

— Co było, to wszyscy wiemy, przerwałem. Mierosławski ze sztabem w pałacu się zahulali, moskale nadsiedli, napadli ich niespodzianie i nie przygotowanych wytlukli..

— Strzelasz bez prochu, boś pewno prochu jeszcze nie wachał.

— Przepraszam, już wachałem.

— Tem ci gorzej, że wydajesz wyrok, nie



znając się na rzeczy. Widziałem tych ludzi; nie byli oni do pohulanki. Zastałem tam majora Celińskiego, szwagra naszego Waszkiewicza, dziedzica tej owo wioski. Był to żołnierz stary, w bojach posiwiał. Był tam Raczkowski i tylu innych dzielnych oficerów, polaków, francuzów, włochoń, a z oczów im nie patrzyło, żeby nieprzyjaciel mógł ich zdybać przy dziewce i szampanie. Zdrada, mój bracie! wyraźna zdrada!... i zamyślił się Nowak — potem jakoby sam do siebie, mówił dalej: O zbieraniu się oddziału w Krzywosądzcy dał mi znać mój szwagier Cichocki z Małej Ujmy. Wojt Kowalski ze Zakrzewa pośpieszył zaraz z donosem do Włocławka — a w trop drugi Kowalski, urlopowany żołnierz prowadził moskali do Krzywosądzca. Kiedym ich ujrział, miałem wóz zaprzężony na wiatrak. Bez długiego namysłu skoczyłem na wóz i dalej do obozu krótszą drogą, żeby swoich o niebezpieczeństwie uprzedzić. Stanąwszy w gaju zastałem powstańców o nadsięganiu już uwiadomionych. Mierosławski stał przy furgonie zafrasowany, chociaż widocznie tego po sobie nie podawał. Przywitał mnie szczerze, a kiedy się w toku mowy dowiedział, że byłem pruskim żołnierzem, że się biłem w Danji, w Berlinie przeciw powstańcom i w Badenii przeciw niemu, gdzieśmy nawet pod kronpryncem dostali pokropkę, uśmiechnął się i mruknął żałośnie; i mnie starego wróbla, jak

widzisz, tu na plewy złowili. — Obok niego stało kilku poważnych oficerów i członków Rządu Narodowego, którzy go w istocie z Paryża pod Krzywosądz zwabili. Celiński objął dowództwo, Raczkowski prowadził porządek, a nas kilku rozmawiało czas dłuższy, bo zanim moskale nadciągnęli trwało jeszcze przeszło godzinę czasu. Byłem świadkiem ich rozmowy, od tego co słyszałem aż mnie ciarki przeszły po skórze. Zdrada i jakieś szatańskie postępy, żeby tych wszystkich, co tam byli zgubić, były aż nadto widoczne. Zamiast broni w Belgii zakupionej, znaleziono w rozbitych krzyniach flaszki ze selterską wodą. Członkowie Rządu Narodowego wydali rozkaz, żeby z Warszawy pod Krzywosądz stawiło się wielu sprzysiężonych. Na kilkaset, którzy w istocie dotąd wyruszyli, stawiło się na miejscu tylko trzech. Ci opowiadali rzeczy niesłychane. Po drodze napotykali ludzi zaopatrzonych w legitymacye Rządu Narodowego, wydających ochotnikom rozkaz niby tego rządu, żeby się cofnęli, co też większa część uczyniła. Zkąd się wziął ów rząd fałszywy, kiedy prawdziwy znajdował się w obozie? Mielęcki z oddziałem spieszył w pomoc, jak otrzymał polecenie już opuścił Stare Radziejewo i przysłał naprzód Topora w kilkanaście koni. Ten wysłałany został z powrotem o przyzpieszenie pochodu. Dwóch członków Rządu udało się do Langiewicza, żeby go o zasz-

łych zmianach uprzędzić; jeden pojechał aż na Litwę do Sierakowskiego. Kiedy moskale za Bodzanowo wychylać się zaczęli, radzono mi umknąć się z obozu. Wyjechałem na Bodzanoską kolonią, oczekując tam, co się dalej stanie. Po dwa razy słyszałem od lasu: hura! hura! Za chwilę powstańcy cofali się ku Dobremu. Teraz zginęli, pomyślałem, bo jak okiem dojrzyć, Mieleckiego widać nie było, chociaż mogłoby przez ten czas się dokulnąć. Ziściło się co pomyślałem. Moskale gnali ostro na pewnia. Pod Dobrem powstańcy już w zupełnym rozprężeniu, padali jeden po drugim od strzałów piechoty i lanc kozackich. Mielecki nie nadciągnął. Dowiedziałem się później, że od pół drogi cofnął się niespodzianie. Kto mu dał rozkaz? kto go do tego namówił? czemu przynajmniej nie dał znać przez ordynansa o swoim cofaniu? Takiej zagadki rozwiązać nie umiem! Z pod Krzywosądza do granicy pruskiej kamieniem dorzucił. Celiński i Raczkowski, którzy tam dowodzili, mogli przecież cofnąć się za granicę bez straty, gdyby nie mieli pewności, że Mielecki tak blisko i z pomocą zdąży. Zawierzeli po żołniersku i swą wiarę śmiercią tyłu walecznych przypłacili. Janowski, podobno naczelnik Rządu, widząc oczywistą zdradę, z rozpacz i zgryzoty kazał się moskalom umyślnie zastrzelić. Celiński i tyłu innych poległi. Oglądałem ich po śmierci. W obozie było ich

wszystkich sto kilkanaście, broni nawet czterdzieści dubeltówek nie mieli. Zginęła ich połowa. —

Zamyślił się Nowak.

— Czy prawda, że chłopci pod Dobrem naszych dobijali? zapytałem.

— A dobijali — dla rabunku. Jednego z nich, co powstańca odzierał, machnąłem ręką po zauszku, że ani pisnął i nie piśnie chyba na sądzie ostatecznym. Jaki pan — taki kram. Dziwić się, że chłopci powstańców dobijali, kiedy już naprzód byli podbechtywani nazbierających się w obozie paniczów. Szlachta zasiedziała, buntowała półgębkiem ludzi przeciw szlachcie wojującej! Mój bratku! człowiek wiele słyszy, chociaż mało mówi — torzekłszy machnął ręką i zamilkł.

Powróciliśmy do domu. Po przekąsco zapytał mnie żartobliwie, gdzie i kiedy już proch wachałem? Opowiedziałem mu naszą wyprawę pod Garczyńskim. Pilnie słuchał, naraz zapytał, dla czego opuściliśmy obóz Mieleckiego na Biniszewie? —

— Czy ja wiem? rzekłem. Rozkaz rozkazem, trzeba było słuchać. Przypomina mi się tylko mały spór między oboma dowódcami. Wnoszę z tego, że on spowodował nasze rozłączenie. Kiedyśmy stanęli obozem na Biniszewie, zostałem posłany z drugim kolegą do Mieleckiego obozu po żywność dla naszego plu-

tonu. Jadło nie było jeszcze gotowe, więc czekaliśmy na nie tuż przy oficerów ognisku. Jeden witał drugiego: jak się masz Kaziu! jak się masz Władziu! całowali się i ściskali. Przybył tam i Garczyński, oświadczając Mielęckiemu, że dzielną przyprowadził mu młodzież i oddaje się pod jego komendę. Radził przytem natychmiast o świcie atakować moskali, podobno niedaleko obozujących, inaczej więcej ich na kark nam się zwali. Mielęcki znów się wymawiał od tak wielkiej odpowiedzialności. Mówił, że na swoje sumienie tyle wojska nie bierze, i radził, aby każdy z nich operował na własną rękę, bo to ma być partyzantka, a nie wojna zaczepna. Garczyński był temu zdaniu przeciwny, dowodząc iż koniecznie jeden z nich główną komendę mieć musi. —

Dłużej sporu, a właściwie dalszej dysputy, nie słyszałem, zmuszony powrócić do swego obozu. Nad ranem nasi oficerowie zagwizdali do pochodu. Kiedyśmy obóz opuścili, było jeszcze ciemno. Dopiero po porażce pod Dobrosowem, gdzie nam kazano zdobywać wieś, którąśmy dopiero co opuścili, a moskale ją zajęli, i po cofnięciu się naszym pod Mieczownicę, kiedy już oba rozbite oddziały się pomięszwały, widziałem znów Mielęckiego i Garczyńskiego razem. Obaj natarli konno na siebie z pałaszami w rękę. Pierwszy zarzucał drugiemu zdradę, rwał się do niego, wzywając go, żeby polski honor

ratując, brał się do boju. Na to odparł Garczyński: „Moja młodzież ma walczyć za ojczyznę, lecz na to jej nie przywiódłem, żeby dla honoru marnie ginęła“. — Byliby się może pokaptowali na dobre, gdyby jakiś adjutant nie wpadł między nich i od siebie nie rozpędził. Rozkazał potem Garczyński cofać się ku granicy. Ponieważ Moskwa następowała z tyłu — z jednej strony jezioro zapierało drogę, a z drugiego boku jakaś konnica się pokazała, wszyscyśmy z obu oddziałów, to jest, ci, co nie zginęli, przešli koło Powidza na pruską stronę. —

Słuchając moje opowiadanie, Nowak kręcił głową.

— Z Mieleckiego, rzekł, był obywatel odważny i z poświęceniem, lecz widzi mi się, więcej w nim było szlacheckiej brawury, niż, roztropności i znajomości wojskowej. Jedno z dwóch: albo rozkazuj, albo słuchaj — na wojnie nie ma innego wyboru. Ten drugi również skrewił: prowadził was na wojsko regularne we wsi usadowione. Przecież wy do takiej zaczepki nie byliście jeszcze wprawieni, chociaż tam była tylko mała liczba moskali. Dla czego wyście tę wioskę opuścili, a potem nieprzyjacielem w niej atakowali, wytłómaczyć sobie nie umiem. Musiały jednakowoż być ważne powody do tego. Przegrać bitwę jeszcze nie sromota, byle każdy spełnił swój obowiązek. Pod Kleczewem było także dwóch dowódców: Callier i Raczkowski,

jednakże prowadzili powstańców do boju zgodnie i wzorowo. Przegrali wprawdzie, lecz nikt za to kamieniem na nich rzucać nie będzie. —

— To wyście byli i pod Kleczewem? przerwałem mu.

— Pojechałem z ciekawości zwiedzić obóz z panem Logą, dzierżawcą probostwa a moim sąsiadem. Pod Ignacewo już nie zdążyliśmy. Ale pod Kleczewem, chociaż nasi byli pochodem już zmitrężeni, trzymali się dobrze i byli przez dowodzców do boju prowadzeni wzorowo. Może nie powinni byli przyjmować bitwy, lecz cofać się także już nie mogli. Pobito ich, bo ich było za mało na wojsko regularne. Szkoda — szkoda, że tacy odważni ludzie, ginęli i giną tak marnie. —

Rozmowę przerwała młoda niewiasta, która przybyła do Nowaka od Wieńca, żeby swary domowe między nią a rodzicami męża swoją powagą zażegnał. Narzekała na panią matkę, że wszystkimi w domu trząsa i rządzi, a ją ma za pomietło, nie za gospodynią. Nowak przyrzekł ich pogodzić i niebawem wyruszyliśmy w podróż razem.

\* \* \*

Z powrotem do Dąbia, obcych panów nie zastałem. Mittelstaedt wyjechał z całą rodziną za granicę. Została tylko stara pani Steinborn,

matka pani domu. Było to w święto Matki Boskiej, a więc 2go lipca.

Zaraz w pierwszą niedzielę potem pojechałem znow do Nowaka. Mówił o dwóch panach, którzy go odwiedzili! jeden, z opisu ten sam co był w Dębiu, drugi jakiś pan Sokół, niezawodnie pseudonim. Pytałem ciekawie, na czem rozmowa stanęła, lecz Bartek dał mi odpowiedź wymijającą.

— To odemnie samego nie zależy, rzekł z powagą, trzeba się i z innymi rachować. Zresztą pytanie, czy Rząd Narodowy zgodzi się na warunki, bo chociażbym przystał do powstania, w pierwszym okresie ruchu pod nieczyją komendę pójść nie myślę. Później, gdy lud za broń chwyci, co innego, lecz muszę wiedzieć komu cugle oddać w ręce i kogo słuchać. Rozkazu tajnych rządów w obozie znać nie chcę. Niewiadomo co to za ludzie i kto za nich bierze odpowiedzialność za następstwa. O warunki chcę się targować tylko z osobami stojącymi na publicznej widowni, z ludźmi takimi, co w czasie walki z mieczem w ręku i z konia do narodu przemawiają. Muszę wpierw pomówić z Raczkowskim i innymi oficerami. Taczanowski jest także za poruszeniem spóółstwa i ma porozumieć się z Callierem i dowódcami w dalszych okolicach, aby ogólne powstanie nastąpiło równocześnie. Inaczej chociażbyśmy się tu ruszyli, toby Moskwa zewsząd na



nas się zwała i nas zgmiotła od razu. Zobaczymy jak tam uradzą i co dalej nastąpi. —

Pozostałem na noc u Nowaka i nazajutrz pojechaliśmy obaj do Osiecin na jarmark. W oberży żyda Konińskiego zauważyłem zaraz na wstępie kilka osób, cisnących się do Nowaka i szepcących do niego coś tajemniczo. Widać nastąpiła jakaś zmowa, ponieważ te osoby, zaproszone przez administratora Brodniewicza, udały się do zamku hr. Skarbka, który był za granicą. Zamówieni zebrali się na sali bilardowej. Byli tam panowie pochodzenia niemieckiego: Feld, Kolbe, Kunkel, młody pan Biesiekierski, profesor Karpiński, rządca Głuszkowski, Nowak, Czerwiński i kilku obcych nieznanym mi panów. Chciałem i ja wcisnąć się na salę, lecz stojący na czatach Czerwiński cofnął mnie ode drzwi, szepnąwszy do ucha, iż jestem jeszcze za młody, żeby brać udział w starszych gromadzie. Cofnąłem się więc zawstydzony i nie wiem o czem radzono.

Nie mogąc się Nowaka doczekać, puściłem się w dalszą drogę. Dojeżdżałem do Skarbowej Woli, wtem mnie ktoś konno dogania. Był to Czerwiński. Zatrzymał mnie, przysiadł się do mnie na bryczkę i zaczął mnie przeproszać za swoje uchybienie, tłumacząc się, iż mnie nie znał i nie wiedział, że z Nowakiem przybyłem.

— W tych czasach ostrożność nie zawadzi, rzekł do mnie — aleś ty paniczu nasz, to się kryć przed tobą nie potrzeba. Bartek to chłop siarcisty! niech mu Bóg dopomaga. On jest za tem, żeby wszyscy razem się rzucili i szarków wypędzili — ja także za tem. Co prawda — sam do obozu nie wyruszę, lecz gdy jedni pójdą trzeba i w domn zaufanym pozostać, żeby podczas zawieruchy ład i skład utrzymać, żywności, rekruta, broni i amunicji dostarczać. Ja się już tego podejmę i Bóg mi świadkiem, że za piecem siedzieć nie będę. Ale Bartek musi stanąć na czele, inaczej ani rusz! Mój Boże, mój Boże! wojna — toćto nie wesele! krew się poleje strumieniem, lecz cóż robić? Święć się Imię Twoje Panie! —

Zadumał się Czerwiński zakrywając dłońmi łzę w oku. Mnie też tkliwo się zrobiło — rozstaliśmy się w milczeniu każdy w swą stronę.

Powróciłem do zwykłych zajęć gospodarskich, lecz jeszcze w tym samym tygodniu musiałem z Dąbia uciekać. Było to w sobotę po południu. Jestem konno przy żniwiarzach na Rydczu, patrzę — a tu kilku kozaków pędzi wprost ku mnie. Pokłusowałem naprzeciw, z zapytaniem: czego żądają? Poprosili mnie dosyć grzecznie do Dąbia przede dwóch. Pojechałem z nimi, właściwie w ich eskorcie, rozważając po drodze: co ten figiel ma znaczyć i po co mnie prowadzą do Dąbia. Dopiero na

miejscu rzecz mi się wyjaśniła. Przede dworem pełno żołdatów pieszych i konnych, zbitych w gromadę niby trzoda owiec, w środku, starszyzna szarpiąca panią Steinborn i przez nią szarpana. Pani Steinborn trzymała klacz bułaną, wierzchowca poprawnej rasy, za uzdę — wyrывая ją z ręki oficera, który znów starą panią mitygował, żeby się nie gniewała, bo w istocie ta klacz i jeszcze jeden kasztanek, są konie powstańcze i zabrane będą. — Na kasztanku siedziałem — i wiedziałem, że oba konie drobne, lecz tęgie bieguny, po jakimś dowódcy były tam na stajni.

Tam do licha! pomyślałem — koniki zabiorą, a może i mnie coś się oberwie. — Na moje szczęście, scena przede dworem ze starą panią tak moskali zaciętrzewiła, iż powstał między nimi zgiełk i dzikie śmiechy. Ja też korzystając z tego, zwróciłem konia śmiało przed nadjeżdżającym wozem ze żytem, czmychając w podwórze. Siodło w sieczkę, konia między żrebce, a sam poszedłem do stodół na warstę. W krótkce potem wróciła i bułanka do stajni, przez jedną niewiastę moskalom odbita. Moskale pociągnęli dalej.

Kiedy poszedłem na kawę, pani Steinborn jeszcze się uspokoić nie mogła. Rozmawialiśmy o zaszłym wypadku, utrzymując staruszkę we wierze, że to w istocie konie zięcia, nie powstańcze. W tem wpada zaziajany Kuźma.

— Państwo kochani! mochy powracają z Borucina i szpieg z nimi. Zabiorą dwóch z Borucina panów i oba konie. —

Nie było czasu do długich namysłów. Dałem znać do fabryki, aby podejrzani pamiętali o sobie.

Sam skoczyłem na kasztanka, porucznik Lachowski na bułankę i dalej w nogi. A był czas wielki, albowiem dragoni do wsi już dopędzali. Za sadem skręciliśmy na lewo, dragoni nam na przebieg — lecz nasze konie — het w tyle ich zastawiły. Wpadliśmy do Jarantowic w zaścianek, tam konie zostały, a myśmy, jakby nigdy nic nie zaszło, poszli do dworu. Moskale wpadli za nami, lecz przez chłopów zbici z tropu, puścili się dalej. Dziedzic, już podstarzały mężczyzna, zaczął nam, zdjęty strachem, przekładać, abyśmy w imię Boga ruszali dalej, co też uczyniliśmy, zwłaszcza, że już zmierzch zapadał i deszcz się opuścił. Pojechaliśmy za pogonią, w przekonaniu, że tą samą drogą wracać nie będzie. Tłukliśmy się noc całą po nieznanym nam drogach, kilka razy wpadając na małe gromadki Moskali. Raz musieliśmy nawet wjechać w jakieś torfowisko, aby ich tuż pod nosem puścić naprzód. Szczyściem dla nas było chmurno i ciemno. Nad rankiem, ze względu na strudzone konie, zatrzymaliśmy się we wsi nieznaney.

Zbudzony dziedzic, niemiec, jakto z mowy poznaliśmy, zaprowadził nas spać do oficyny,

a konie do stajni. Ledwośmy się położyli, słyszemy w przedsionku brzęk pałasza i ciężkie stąpanie.

— Do stu katów, tośmy się dostali w pułapkę — mówi Lachowski, zrywając się z łóżka i oglądając się po izbie, kędy uciekać.

Tymczasem gospodarz rumocze do drzwi, żeby otworzyć. Co robić? otworzyliśmy! Wchodzi zbrojny mężczyzna, lecz nie moskał. Był to powstaniec — właściwie maruder, znany pod nazwiskiem Hybnera.

Takich, maruderów kręciło się wielu, czasem po czterech i pięciu razem, objadających dwory, gwałcących kobiety i dających się chłopom we znaki. Byli to po większej części złodzieje za powstańców przebrani. Już w Dąbiu rozbroiliśmy kilku takich rabusiów, którzy nocną porą na dwór napadli.

Hybner nie był rabusiem, lecz prawdziwym maruderem. Śmiałość i odwaga tego człowieka przechodziły wszelkie pojęcie, dla tego kilka słów mu poświęcę. Pisał się synem dziedzica, lecz inni utrzymywali, że to czeladnik szewski. Należał on do różnych konnych oddziałów, lecz zawsze się odcinał, bobrując po kraju samopas. Zajeżdżał zwykle do księży dla naprawiania żołądka, a gdzietylko dowiedział się o Moskałach, robił na nich wyprawę i przynajmniej jednego ubić musiał. Opowiadano różne o nim awantury. Czasem zebrał sobie dwóch i trzech kom-

panów, również odważnych i z nimi Moskali ubijał. Raz w czwórkę wpadł do Nieszawy. Mieszkańcy sądzili, że to szpica całego oddziału, więc przyjęli naszych śmiałków z entuzjazmem. Dwudziestu dwóch moskiewskich żołnierzy, tak zwanych inwalidów, którzy ze strachu się pokryli, powywłóczył z kątów; rozbroił. To samo uczynił z kapitanem, broniącym się do upadłego.

Ciągnąc z tej wyprawy z łupem koło Ważańca, zaczął na nadchodzący pociąg, żeby go zatrzymać.

Tu się przerachował. W pociągu byli Moskale, wysłani na niego w obławę. Czmychnął w stronę Służewa, lecz pod Świętem napadła na niego konnica.

On ubił dwóch przeciwników, lecz stracił towarzysza, którego Moskale rozsiekali. Powetował tę stratę zaraz we dwa dni pod Szeląkami. Jadąc spokojnie tuż niedaleko kordonu, ujrzał przy karczmie pięć koni objeszczyków, przywiązanych do płota. Objeszczyki pili w karczmie. We dwóch tylko wpadł śmiało do karczmy. Moskale pod ławy, pod stół do alkierza, a ten jak wściekły rąbać ich i mordować. Towarnicy zahulani w karczmie, nuż mu dopomagać, nieprzypuszczając żeby było dwóch tylko powstańców. Powiązani Moskale jak barany pozostali w karczmie, a nasz maruder, zabrawszy broń, konie i co miało wartość, pociągnął dalej, ku zdziwieniu pozostałych i roz-

paczy kaczmarza. Napłatał on Moskalom wiele innych figlów, zawsze z taką bezczelną odwagą, iż do głowy im przyjść nie mogło, żeby on te napady robił sam, lub tylko z jednym lub dwóma towarzyszami.

Ten właśnie Hybner stał przed nami. Lachowski wpadł z furją na niego:

— Ty niepoprawny urwiszu! ja ciebie rozbroję i oddam pod sąd do oddziału.

— Sam pałasz odpaszę, a do oddziału także się stawię, bylebym wiedział, gdzie się znajduje. Moskali co dzień spotykam, nasi pewno się w lesie pokryli i grzyby zbierają — odparł z krwią najzimniejszą.

— Zkąd cię djabli niosą o tej porze?

— Z Wysocinka.

— Czemuś tam na noc nie został?

— Kiedy mi Moskale kwaterę zabrali.

— To Moskale we Wysocinku? Pewno po drodze znów co skrewiłeś i teraz uciekasz, a oni cię gonią!

— Nie skrewiłem i nie uciekam. Jechałem najspokojniej z kolegą Ko... a tu dwóch Moskali na widecie stoi mi niespodzianie w drodze. Co robić? Palnąłem do jednego, drugi uciekł. Aha! pomyślałem, tam ich więcej. Zawróciłem więc najspokojniej kolumną na lewo w tył zwrot, i tu staje obozem. Ten drugi poszedł flankierką, Moskale zaś pozostaną do rana

w spokoju pod bronią, z obawy żeby ich cały mój oddział niespodzianie nie napadł. —

Na takie tłumaczenie złość nas ominęła, on zaś poprosił dziedzica, żeby mu dostarczył sera, chleba i wódki, co się też stało.

Po śniadaniu poprosiliśmy dziedzica o furmankę do kościoła. Pojechaliśmy do Kościelnej Wsi. Już się nabożeństwo kończyło, naraz stał się rozruch w kościele. Spojrzę z chóru przez okno, a tu pełno lanc miga się w koło kościoła, w którym miało się znajdować kilkadziesiąt powstańców w okolicy rozkwaterowanych. Moskwa zrobiła na nich obławę. Żołnierze pchają się do świątyni, jedni aby się pomodlić, drudzy chwytają podejrzanych za kołnierze, za drzwi wywłócząc. Mój ubiór podpadał. Skoczyłem więc do zakrystji, żeby księdzu przy obrzędku kościelnym posłużyć. To mi się udało i na czasie zyskałem. Ale już ludzie wyszli z kościoła a moskale nieustępują, lecz jak psy węszą po świątyni. Zafrasowany proboszcz szepnął do mnie, żebym wychodził.

Ledwo głowę za wielkie drzwi wytknąłem, natarło na mnie kilku kozaków. Gorąco mi się zrobiło, lecz już nie pomnę, czy ze strachu, czy od kozackiej nahajki. Chłopi miie zasłonili, mruczając groźnie:

— Co chcecie od niego? to nasz panicz!  
Czy mnie znali, sprawdzać czasu nie było.



Kilku oficerów dopadło i kozaków odpędziło.

Przemknąłem się do organistówki. Chałupina tak niska i mała, iż silny chłop mógłby ją w powrąsło zabrać na plecy. Wsunąłem się na poddasze, wciągając drabinkę za sobą. Moskale wpadli do izby i znów wypadli, kręcąc się w koło chałupki i pytając się stojących chłopów:

— Kuda uszoł? kuda uszoł?

Organiścina mnie błaga, żebym zszedł z poddasza, bo będzie jeszcze gorzej, gdy moskale wrócą i tam mnie znajdą. Skoczyłem na dół, wziąłem dużą książkę pod pachę i w Imię Boże wyszedłem raźnie między gromadki ludzi i kręcących się żołnierzy. Szedłem wprost drogą, żeby najprędzej wyjść ze wsi. Ten i ów odezwie się do mnie:

— Pana nie przepuszczą, bo już pikiety rozstawione.

— Jak nie przepuszczą, to się wrócę — hardo odparłem — idąc dalej.

Jechał wóz za mną dla wojska po drzewo do lasu; na wozie dwóch żołnierzy i dwóch chłopów. Kiedy mnie mijali, mówi jeden, niezawodnie włódarka, do żołnierzy:

— Zabierzcie tego pana, dostaniecie na wódkę.

— Da! siadajcie! woła moskał.

Mówić dwa razy było mi nie potrzeba; skoczyłem na wóz i tym sposobem za wieś się

wydostałem. Pod lasem podziękowałem im za furmankę, dając trzy dziesiątki na wódkę.

Szedłem dalej, niewiedząc dokąd, ponieważ ani nazwisko dziedzica, ani wsi, w której nocowałem, nie było mi znane.

Skręciłem więc do pierwszego po drodze folwarku, gdzie po objaśnieniu, z kąd się wziąłem, uprzejmy pan poprosił mnie do obiadu. Tam się też dowiedziałem, że w nocy stanąłem niezawodnie w Zagajewicach, u starego pana Kunkla.

Po obiedzie odwiózł mnie pan Antoni (imie tego pana) do Zagajewic. Zastaliśmy tam moskiewskiego oficera, z którym się przywitał. Po krótkiej rozmowie z owym oficerem w przyległym pokoju, wyszedł, oświadczając mi, że konie tu zostaną, ja zaś do niego pojedę, gdzie mam się zatrzymać do dalszej dyspozycji.

Z powrotem kazał mi p. A. rozgościć się u siebie, jak we własnym domu, sam wyjechał do Kościelnej wsi, z kąd późno w nocy powrócił.

Nazajutrz rzekł do mnie pan Antoni:

— Raczkowski i M. Zieliński mieli zbierać oddziały. Moskale przez szpiegów o tem uwiadomieni, przebiegają naszą okolicę eszelonami, żeby tej organizacji przeszkodzić. Gdyby tu czasem wpadli, nazywać się będziesz Antoni Borodzicz, mój pomocnik gospodarski i krewny.

Zapytałem go, czy mogę dojechać do Słupów. Zastanowił się, lecz nie pytał po co.

— Owszem, rzekł, lecz tylko konno. Na bryczce niebezpiecznie.

Jeszcze przed południem stanąłem u Nowaka. Tu się dowiedziałem, że widział się z Raczkowskim, nastąpiła umowa i rozbierany był plan ruchawki. Nowak otrzymał także nominacją na niezależnego dowódcę w stopniu majora od Rządu narodowego. O tej nominacji i tytule odezwał się z widocznem lekceważeniem:

— Zkąd oni roszczą sobie prawo nadawać komuś stopnie wojskowe i tytuły w imie narodu, kiedy ich naród nie zna.

Był także u niego Kurzyna i dwóch panów, których nazwisk nie wymienił. Jawnem było z jego mowy, że istniały dwa przeciwne Rządy narodowe, co Nowakowi tajnem nie było. Wielkie zadowolenie objawił z odwiedzin Antoniego Kwiatkowskiego, kapitana czy majora sztabu gwardyi moskiewskiej, który za urlopem przybył z Petersburga do familji. Pokazało się, że oficer którego widziałem w Zagajewicach był owym Kwiatkowskim. Po dłuższej rozmowie ofiarował on swe usługi Nowakowi, i miał, w braku zdolniejszego oficera, zostać jego szefem sztabu. Był to zacny człowiek, łagodnego usposobienia, rozsądny i uczony. Bartek okazywał niezmierną radość, że go do swych pla-

nów pozyskał. Kwiatkowski przebywał u swego wuja, pana Kunkla, a także u stryjecznego brata Włodzimierza, dziedzica Przywieczerzyna, podówczas komisarza wojennego. Dobrze sobie nie przypominam, czy to było wpierw, czy później, dosyć na tem, do Przywieczerzyna zjechał transport broni nocną porą. Dwóch konwojujących broń, znajomych Włodzimierza, wstąpiło do niego. Kiedy weszli do pokoju, brat jego Antoni, oficer na urlopie, nie wiedząc co za jedni, a może z nawyknięcia, przemówił do nich szorstko po moskiewsku, zabierając się do zapalenia świecy. Tamci znów, myśląc, że to zasadzka, podobno i mocno podchmieleni, dali do Antoniego z rewolweru ognia kilka razy. Wypadł Włodzimierz z przyległego pokoju i kula trafiła go w samo serce.

Zgryziony tym wypadkiem Antoni, nosił żalobę do zgonu. Po zawiodłych nadziejach w 1863 roku wyniósł się na emigracyą do Francyi, gdzie został lekarzem. W czasie ostatniej wojny prusko-francuskiej, ozdobiony już orderem legii honorowej, pełnił urząd lekarza polowego lazaretu pod Nancy, i w chwili, gdy nad rannym się schylał, padł od pruskiej kuli.

Zwykle skryty i małomówny, tę goźdnia opowiadał mi Nowak różne historyjki z czasów swej służby wojskowej. Z doświadczenia nabytego we walce przeciw Berlińczykom i freiszarom w Badeńskim, objaśniał mnie, że żoł-

nierz regularnej armii jest przeciw powstańcom ogromnie lękliwy.

— Żołnierz na żołnierza — mówił — idzie śmiało, lecz w wojnie domowej stracha się własnego cienia. Wszystko mu podejrzane, a to go nęka moralnie. W nocy ucieka przed zajęciem ruszonym w kotlinie.

Niechno chłopci w jednym kącie Polski powstaną — taki dzwonek słyhać daleko. Chłopie czy tu, czy na Podolu, czy na Litwie, wszędzie jednacy. Gdy jedni się ruszą, pójda za nimi hurmem i drudzy. Wtenczas żołnierz truchleje, nie wiedząc z kim i przeciw komu ma walczyć — a wszystkich zabijać nie podobna. Lecz należy wtenczas z czasu korzystać, żeby się ruchawka nie rozleciała. Trzeba ją, nie do lasu, jak dotychczas, lecz ciągle naprzód i naprzód popychać. Jedni do miast, na małe załogi, aby je poznosić i zmusić do cofania się w miejsca warowne; drugie hufce, z chłopów złożone, pchać w głąb kraju, żeby wszystkich chłopów poruszyć i rozniecić ogólne powstanie jak najdalej, chociażby na ruskiej ziemi. Wtenczas i panicze nabiorą otuchy, gdy zobaczą, że mają siłę za sobą, i pójda przodem, żeby ich chłopie nie zawstydzili.... Chłopów można poruszyć, tylko do tego nasz trójką najgorszy. Musimy od razu zagarnąć Włocławek, inaczej albo nas we Wiśle potopią, albo przez granicę przerzucą.

— Czy to tak łatwo Moskali z Włocławka wykurzyć? zauważyłem nieśmiało.

— Jeżeli ich z Włocławka wyprzeć nie można, to jakże chcecie ich wypędzić z całej Polski? Włocławek musi być zabrany i to od pierwszego zamachu, żeby sobie przez Wisłę drogę utorować. Rozmawiałem o tem z naszymi. Z początku głowami kręcili, lecz Raczkowski przyznał mi rację. Co u licha! tam ich jest wprawdzie 1300 ogółem. Z naszego powiatu (teraz dwa) może ruszyć od razu 6000 chłopów. Dajmy połowę. W mieście dopomogą, pasierby przejdą także na naszą stronę...

— Co mówicie — pasierby!?

— Na kogożbym liczył? przecież już zbrojni i na koniach. Oni na pierwsze hasło zwrócą się na szarków. Co mają robić? na swoich nie pójdą. Przytem na załogę uderza się z nie-nacka nocną porą, wtenczas każdy kot szary. Swoją swego pozna, pozna i Moskala, i doprawdy w ciuciubabkę bawić się z nim nie będzie. Starszyna musi paść pod pierwszym obuchem, zanim kwatery opuści. Trudna rada — w takiej wojnie nie ma pardonu. Żołnierz bez starszych, bez punktu zbornego, bez komendy, jest jak postrzelona gapa. Zamach udać się musi od pierwszego impetu. Gdyby się nie udał, Moskale się cofną, coby było najgorszem.

— Jakto najgorszem? — zapytałem ciekawie.

— Boby mogli się cofnąć przez Wisłę w Płockie, a wtenczas szykiby nam popsuli. Zostalibyśmy w matni. Moskwa ruszyłaby na nas od Warszawy, od Kalisza, a tam ani Taczanowski, ani Callier wstrzymać ich nie byłiby w stanie. Siły mają za słabe, a wątpię, czy na dane przez nich hasło chłopci gromadnie wystąpią. Z moją ruchawką w otwartym polu, z regularnem wojskiem mierzyć się nie myślę, boby to było szaleństwem. Mogę tylko z chłopami iść zawieruchą naprzód, napadać nocą na małe załogi po miasteczkach, urwać gdzie można, lecz bitwy nie przyjmować. Mogę iść szlakiem, jak robili Tatarzy lub kozacy. Lni oficerowie muszą mieć dosyć czasu, by za mną ścieśniać szeregi i ćwiczyć je w obrotach wojennych. Mogę po drodze chłopów pod broń powoływać i dostarczać rekruta do tylnych kadrow. Dla tego potrzeba koniecznie w jakie dwa tysiące chłopów przewalić się przez Wisłę w Płockie, żeby mieć przed sobą szerokie pole działania. Należy oczyścić z jednej strony pogranicze dla dostawy broni i ułatwienia przejścia pruskim dezertersom, coby w ruchawce jakiś ład utrzymywali. Pruski podoficer, kapral a chociaż żołnierz, kiedy rezolutny, może w potrzebie prowadzić kompanię. Tu nie ma na kogo się oglądać. Moskiewscy żołnierze zaczną

do nas przechodzić, gdy spostrzegą po naszej stronie przewagę, gdy zobaczą, że w kotka i myszkę z nimi nie gramy.

Zapuszczonych chłopskich zagonów z tamtej strony Wisły Moskwa znieść nie będzie w stanie. Czy pójdziemy szeroko półksiężycem, czy klinem, czy eszelonami, chociażby zdusiła jeden i drugi oddziałek, rady nam nie da. Gdzie przejdziemy, tam już moskiewska trawa za nami rosnąć nie musi. Wiedzieć także należy, że żołnierz regularny w takiej zawierusze szybko nie działa. Niechno w jednym miejscu się zakotłuje, stać będzie jakie dwa tygodnie pod bronią w obserwacyi, a przez ten czas można już umachać mil kilkadziesiąt ku Litwie i wzmocnić oddziały do kilkunastu tysięcy, nie licząc tych, co pozostaną w tyle obozami w kadrach regularnych.

— Na co nam aż na Litwę? — zapytałem

— Zabawny z ciebie żołnierz! Na co? Gdybyśmy kręcili się w miejscu, toby pospolita ruchawka się znudziła i do swych chałup poaciekała. Im dalej od domu, tem lepiej bić się będzie i dezertować nie może.

Litwini nabraliby także otuchy, gdyby gromada chłopów w ich ziemię wtargnęła. Wówczas nie tylko szlachta, jak dotąd bywało, lecz cały lud litewski wziąłby udział w powstaniu, i poodcinał moskalom drogę do Polski. Chłop jest uparty, kiedy raz zacznie, skończyć z nim



nie łatwo, byle mu wodze popuścić. A co by to szkodziło przenieść chłopski pożar i do ziemi moskiewskiej?! Oni buntowali nasz lud przeciw Polsce, czemużby nie można buntować lud czysto ruski przeciw czynownikom cara? To wszystko kraje zabrane — wszędzie jedno лихо. Tam lud tak samo mitręzą i ta sama nienawiść do władzy co u nas. Gdyby tam, w ich własnym kraju ogień rozdmuchać, o co chłopom, byle mieli przywódców, nie tak trudno, bo swój trzyma zawsze ze swoim, tobyś dopiero zobaczył, jakby to wojsko carskie od nas rejterowało!

— To mrzonki! — do tegoby nie przyszło — ośmieliłem się zauważyć.

— Kto kołka nie umie zaciosać, temu dziwno, że lokomotywę robią zwyczajni ślusarze i kowale — ma się rozumieć pod dyrekcją inżyniera i techników. Chcąc wypędzić z kraju Moskali, trzeba wielkie bitwy staczać i fortece zdobywać — co przecież większy kunszt, niż zbudować jaką maszynę.

Zanim do tego przyjdzie, niech każdy robi, co umie. Buntować chłopskie tłumy, na ich czele szarpać i urywać wroga, jak się da i gdzie można — nie dać mu wypoczynku, przecinać drogi, nie dopuszczać, by wojska cara mogły się ze sobą znosić i koncentrować — to dopiero ciosanie kołków. Łatwiej szerzyć pożar powstania w najodleglejszych zakątkach, łatwiej

go przenieść nawet w obszerne kraje moskiewskie, niż zdobywać fortece. W każdym razie lepiej niszczyć wroga w jego własnych siedzibach, niż niszczyć kraj własny.

Innej wojny z Moskwą niepojmuję. Regularnem wojskiem nie łatwo jej zwyciężyć, jak jej Napoleon nie zwyciężył. Państwo moskiewskie rozprysnie się pod ciosami chłopskich obuchów.

Czy dziś, czy jutro, czy za lat kilka czy kilkadziesiąt, taka wojna u nas nastąpi, bo na ziemiach słowiańskich chłopi stanowią rdzeń i siłę narodu, a do walki o wolność, byle ich zagrozić i poprowadzić, są pochoptni, czego o chłopach innych szczepów powiedzieć nie można. Takie jest moje zdanie. —

Przestał Nowak mówić, zadumał się i jakoby sam się wstydził, że za wiele przedemną się wywnętrzył, zakończył żartobliwie z uśmiechem: — To wszystko głupstwo co mówiłem. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. Plotłem jak Piekarski na mękach. Zapomnij o tem i nikomu tego nie powtarzaj. —

Było już pod wieczór. Przed Nowaka zjechały dwie fornalki z ładunkiem. Jakiś młody pan wyprosił go do siebie, rozmówił się na uboczu i pojechał dalej. Kiedy noc zapadała, dał mi Nowak stanowczy rozkaz, żebym natychmiast udał się z kartką do jego szwagra Cichockiego, sołtysa w Małej Ujmie, późniejszego

wójta i sędziego okręgu radziejewskiego, abym tam przenocował, a raniutko pojechał z dwoma wozami broni dalej, do miejsca, które mi wskazane będzie. Zalecając mi największą przezorność, objawił mi, iż jest nie spokojny, ma bowiem podejrzenie, iż nie wszystko tak się dzieje, jak się dzieć powinno. Spełniłem rozkaz, lecz Cichocki o niczem nie wiedział. Dopiero na drugi dzień około 8-mej z rana, wpadł po mnie jakiś powstaniec. Wyszedłem z nim i spotkałem dwie fornalki, z bronią czekające na nas pod Bilnem. Młody wyfryzowany panieczek, nie ten com go widział przed Nowakiem, nadający sobie tytuł pomocnika organizatora, czy jeszcze wyższego dygnitarza, lecz raczej do linoskoka podobny, kazał mi odstawić broń przez Radziejewo do Świsza, zaręczając, że po drodze nie trafimy ani śladu Moskala.

Jechało dwóch fornali i nas trzech powstańców, jechaliśmy śmiało traktem przygranicznym. Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy nie dalej jak o 200 kroków w bok ujrzeni objeszczyków. Szczęściem dla nas czyścili konie i wcale na nas nie zwracali uwagi.

Trochę dalej dowiedzieliśmy się, że na wszystkie kordony Moskale po powracali po poprzednim przepłoszeniu ich przez Raczkowskiego. Co było robić? Na opatrność Bozką pędziliśmy dalej nie zbaczając z drogi, aż do Świ-

sza. Tu nowy zawód. Dziedzic ani nic nie wiedział, ani nic o broni wiedzieć i przyjąć jej nie chciał.

— To pomyłka! rzekł. Zkąd was czarci wiedzą, po granicy aż od Otłoczyna nad Wisłą, kiedy ja tu mieszkam na samej granicy przy Gople. Może was wysłali na pastwę objeszczynom umyślnie?!

Co tu począć? Pytam, czy nie ma w okolicy innego Swisza?

— A są — lecz nie Swisz — tylko Swiszewy, het za Izbicą.

Masz tobie pociechę. Puściliśmy się dalej już nocną porą. Docierając do Izbicy widzimy nad miasteczkiem jakąś jasność i słyszymy rozhovor z tamtąd do nas nadchodzący. Na zapytanie odpowiada przechodzący młynarz, że to Moskale robią taki rejwach, wychodząc o północy w marsz na zbierających się gdzieś w pobliżu powstańców. Pytam: gdzieby tu skręcić do Swiszew, byle nie przez miasto. Dorozumiał się młynarz o co chodzi i dał nam, jakie mógł, objaśnienie. Zresztą jeden z fornali znał boczne drogi.

Zajechaliśmy do Swiszew już po północy, a było chmurno i ciemno. We dworze jeszcze nie spali. Pukam do drzwi frontowych szklanych, lecz mnie puścić nie chcą. Dziedzic, otyły mężczyzna, w tureckim szlafroku, stojąc za szkłem niby za jaką silną barykadą, wy-

myśla nam, wysyłając nas do diabła, na złamanie karku, jeżeli sobie nie życzymy na sośnach podynać. Tego nam było za wiele, jak na głodnych i zmarnowanych.

— Dobrze paneczku — mówię. Kiedyś taki zuch, my sobie pojedziemy dalej, lecz przede dworem zostawimy na odpowiedzialność Jegomości ładunek broni z dwóch fornalskich wozów, bo dłużej jak Marki po piekle tłuc się po nocy z bronią nie będziemy. Róbcie teraz co chcecie!

— Na rany Boskie! — czyście poszaleli? wrzasnął przerażony dziedzic. A załamując z rozpaczycy ręce, błagał nas, byśmy z końmi, wozami i bronią co tchu dalej uciekali, gdyż Moskale tuż — tuż staną w miejscu. Bodaj nawet kazał nam podać po kawałku pieczeni i chleba, byle nas się pozbyć co prędzej.

Zwlekać nie było czasu, ruszyliśmy więc dalej, nie wiedząc sami, czy na północ czy na południe. W podszytym lesie, na rozstajnych drogach zgubiliśmy się bezwiednie. Moskale gonili od Swiszew śladem za nami i dopędzili drugą fornalkę. Biedny powstaniec został później we Włocławku powieszony.

My dwaj i fornal wyjechaliśmy z lasu szczęśliwie. Słońce już wschodziło. W pierwszym po drodze folwarku, nazwiska nie pomnę, stało przed starym dworem kilkunastu powstańców, wyprawiających jakieś ćwiczenia gimnastyczne.

Zawróciliśmy do nich. Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy się przekonali, że prawie wszyscy byli pijani. Tylko dwóch było trzeźwych: profesor Karpiński i młody Słupski; co pierwszy w tej kompanii porabiał, nie pojmuję. Ponieważ, jak zmiarkowałem, była to starszyzna mającego się tworzyć obozu, powierzyłem tym obrońcom ojczyzny broń do zakopania.

Pod Swiszewami, jak się zdaje, miał zbierać się oddział powstańczy, lecz nie mogłem się dowiedzieć z czyjego polecenia. Takie rozkazy wydawał bowiem czasami i major Szware, adiutant Wittgensteina, będący w posiadaniu fałszywych czy prawdziwych pieczęci i blankietów polskiego Rządu Narodowego. Tym sposobem chciał łowić powstańców, na fałszywe hasło w jedno miejsce zebranych. Cywilne władze powstania, a było tych urzędników rozmaitego kalibru więcej, niż powstańców pod bronią, również płatały różne figle, narażając przez lekkomyślność ludzi i broń na zgubę. Lecz byli i tacy, co biorąc udział w ruchu narodowym, służyli równocześnie Moskałom za szpiegów. Za tę dowiedzioną zbrodnię zostali na Kujawach powieszni: obywatel Czernicki z Kłubki i kilku innych.

Pomiędzy niedoszłego obozu pijanymi rozbitkami, nie wiedzącymi na czyj rozkaz tam się zebrali, nie było co długo popasać. Powróciłem do Zagajewic przez Brzeście, dokąd ze

mną jechał także Karpiński, uchodząc z niebezpiecznej matni.

Zaraz nazajutrz musiałem się stawić w Kościelnej Wsi, gdzie Pan A. K. mi oświadczył, że zostałem przeznaczony do spełnienia obowiązków kuryera. Tam też dowiedziałem się o mających wkrótce nastąpić zmianach w Rządzie narodowym. Podobno dowódcy się zmagali, żeby utworzyć władzę widzialną, scentralizowaną, mającą chociażby z zagranicy kierować powstaniem przez komisarzy wojennych. Właściwie w miesiącu lipcu 1863 r. Rząd Narodowy tak jakby wcale nie istniał. Wprawdzie kilku członków, młodzieniaszków, wieku lat 20 do 22, bez doświadczenia i politycznego wyrobienia, odgrywało we Warszawie rolę dyplomatów między rozwódkami i rozmaitemi kuryerkami do szczególniejszych poruczeń, lecz większa część członków wałęsała się po kraju, ograniczając swoje posłannictwo i obowiązki względem narodu, na bałamuceniu kobiet, na intrygach, wzajemnem się prześladowaniu i wydawaniu na siebie wyroków śmierci. Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu przykłady, opowiadane mi przez Nettyną, naczelnika żandarmeryi powstania wojewody Kaliskiego, i przez Oksińskiego, dowódcę oddziału.

Nettyn, uczeń szkoły realnej w Kaliszu, licząc lat 19 został z polecenia Kopernickiego mianowany naczelnikiem polskich żandarmów

w Kaliskiem. Mniemano w nim pozyskać ślepe narzędzie do wykonywania wyroków, lecz młody naczelnik widział i słyszał lepiej, a działał przebieglej od swych protektorów. Jakoż otrzymał przez Kopernickiego rozkaz Rz. Nar. pod pieczęcią, żeby ścigał niejakiego Szachowskiego, który mianuje się komisarzem tegoż rządu i bobruje w kaliskiem, a gdy go pochwyci, ma go natychmiast powiesić. Pan pułkownik Kopernicki obmalował ze swej strony na śmierć zaocznie bez sądu zawyrokowanego jako zbrodniarza i zdrajcę. Nettyn pożegnał pułkownika z należnemi względami, lecz nadał nozdrza, jakoby coś zwęszył. Nie zwierzając się ze swego podejrzenia nikomu, zdał komendę podwładnemu p. Lange, sam zaś w kilku koni puścił się w Piotrkowskie do Oksińskiego. Mając do niego zaufanie, zwierzył mu się ze swych wątpliwości co do owego wyroku.

— Ależ to niesłychane! Szachowski, mój towarzysz ze szkoły wojennej w Cuneo, politycznie wyrobiony człowiek zasad demokratycznych, najuczciwszy patriota — on zdrajcą? To podła intryga! zauważył Oksiński.

— Już jestem w domu! odrzekł Nettyn i powrócił do swoich.

W kilka dni Szachowski zgłosił się do niego osobiście.

— Na naczelnika żandarmeryi wydajesz mi się za młody! zagadnął Nettyna rubasznie.



— Lecz dość stary, żeby wiedzieć, co mi czynić wypada, odparł tenże, pokazując wyrok.

Szachowski nie zmięszął się, lecz oglądając wyrok na wszystkie strony, uśmiechał się pogardliwie.

Ładne sprawki, mruzczał pod nosem. To moi Giller, ten moskiewski wychowanek Muchanowa, chciałby mnie z drógi sprzątnąć. — A obracając się do Nettyna: No! panie naczelniku! czyń swoje!

Nie spełnię wyroku — może pan komisarz jechać dalej.

— Jeżeli tak miękko, jak ze mną, zawsze sobie postąpisz, to i łotrów się nie pozbędziemy! zauważył na odchodnym Szachowski.

Wkrótce potem przybył Giller w kaliskie i odwiedził Nettyna. Ten miał już także na niego wyrok Rządu Nar. i takowy mu okazał, oświadczając, że go aresztuje.

Co? co? mnie aresztować? Czy nie wiesz Feliksie (obaj się znali z Kalisza), że przecież jestem członkiem tego Rządu!? Co to za mistyfikacya?

— Właśnie Rząd Narodowy rozkazuje mi, żeby pana za jego w rządzie intrygi *raz na zawsze* uczynić nieszkodliwym. (Tak brzmiał wyrok).

Giller zaczął biadać:

— Ależ Feliksie kochany! przecież tego nie uczynisz — to jakaś pomyłka.

Nettyn w istocie nie wiedział co czynić. Wyrok był niejasny.

Zawiózł więc Gillera do pruskiej granicy pod Kępno, tam odebrał od niego przysięgę, że do Warszawy już nie powróci — i puścił go na pruską stronę. W tydzień później Giller był już w Warszawie.

Sprawa z Oksińskim zakończyła się więcej tragicznie. Dowódzca ten uwijał się nad Pilicą na czele przeszło 800 chłopów, lecz unikał walki z Moskalami, oszczędzając siły do chwili odpowiedniej. Należał on do party czerwonych, a właściwie do party tak zwanych mieroślawczyków, dla tego partya białych postanowiła kark mu skrócić. Nasyłano mu podstępne rozkazy, lecz ostrożnego lisa w pole wywieść nie było można. Podejrzane polecenia władzy narodowej chował grzecznie do kieszeni, a czynił swoje. Party białych cierpliwosć się przebrała. Otrzymał od niej rozkaz pod pieczęcią Rządu narodowego, żeby bezzwłocznie złożył władzę wojennego naczelnika i oddział rozpuścił, inaczej pod sąd wojenny oddany zostanie. Oksiński nie zważał na to. W kilka dni otrzymuje drugi rozkaz, żeby pod karą śmierci oddział rozpuścił. I teraz schował cyrograf do kieszeni, lecz rozkazu nie spełnił. Trzecie pismo było, już nie rozkazem, lecz wyrokiem na śmierć, z uwiadomieniem, że wysłani z Warszawy sztyletnicy wyrok spełnią, jeżeli go jeszcze w obo-

zie zastaną. Zważywszy, iż przed skrytobójcami i we własnym domu, nie tylko w obozie, trudno się ukryć, wprawdzie po małej od Moskali porażce, lecz głównie z powyższych względów oddział rozpuścił. Sam udał się pod rozkazy Taczanowskiego — dokąd i wielu jego ludzi ściągnęło.

W kikanaście dni potem, ni ztąd, ni z owąd, przybywa do głównej kwatery generała Taczanowskiego trzech delegowanych Rządu Narodowego z oświadczeniem, że pod swemi skrzydłami kryje zdrajcę Oksińskiego, który bez żadnego powodu liczny oddział na zgubę wystawił. I nie pytając wiele, owi panowie formalny sąd ustanowili. Już stół kirem nakryto, znalazły się: krucyfix i trupia głowa na stole — i winowajca stanął przed trybunałem — spoglądając z szyderczym uśmiechem na przedstawicieli sprawiedliwości najwyższej Władzy Narodowej. Za nim przybyło wielu oficerów, pobrzękując mieczami. Zjawił się i Nettyn. Ten przymrużywszy żółte oczy, wpoił je w delegata, odgrywającego rolę prokuratora, a po małej chwili szepnął coś do oficerów. Zabrzęczało niby w kósce. Pobladli delegaci prosili o spokój, lecz pochwyceni za kołnierze, znaleźli się nie spodzianie na odwachu pod silną strażą.

Sprowadzeni świadkowie z okolicy Turka: kilku dziedziców, proboszcz, mieszczenie i wieśniak, zeznali pod przysięgą jednozgodnie, że

mniemany pan prokurator naślany z ramienia Rządu Narodowego, *buntował mieszkańców przeciw władzom powstańczym*, zachęcając nawet do oporu i zdrady. Dwóch drugich było w okolicy nieznanym. Sąd obozowy odbył się krótko: pan prokurator powędrował na sosnę, a dwóch jego kompanów wpakowano do szeregu, lecz w krótkce obaj uciekli.

Jak wspomniałem powyżej, z powrotem do Zagajewic przeznaczony na kuryera, ze stałem mieszkaniem w W. spełniałem ten obowiązek do później jesieni. Będąc w ciągłym ruchu nie przypominam sobie odtąd wypadków, jak z kolei po sobie następowały, lecz wspominam o nich z pozostałych wrażeń osoby Nowaka dotyczących, bez odznaczania dat a nawet miesięcy. Granicę przechodziłem z posyłkami w tym czasie jedenaście razy. Nowaka odwiedzałem czasem po drodze, czasem umyślnie lnb z poleceniem — a nawet z nim podróżowałem. Był on zwykle zamyślony, mało mówny lecz nadzwyczaj czynny.

Przytem tak się urządzał, iż nawet rodzina jego nie wiedziała, dokąd, kiedy i po co, czy w niedzielę, czy w inne dni, najczęściej nocną porą, dom opuszczał. Jeździł do chłopów, do księży, do panów.

Tylko kilka takich wizyt, w których mu towarzyszyłem, opisać jestem w stanie.

Byłoto, przybywam do niego, każe mi przebrać się w chłopskie ubranie. On sam nosił się więcej po ekonomsku z wyjątkiem chłopskiej rogatej czapki z szerokim barankiem. Pojechaliliśmy do Dużej Ujmy. Po drodze rzekł do mnie:

— Wstąpimy do polskiego wroga a zwoleńnika Moskali. Gdyby on mógł, wszystką szlachtę od razu by powywieszał. Muszę się z nim rozprawić w oczy, inaczej gotów nam wiele zaszkodzić. Ma on głos i wpływ znaczny między chłopami. —

Byłoto sołtys gmininy, nazwiska nie pamięlam. Gdyśmy weszli do niego, przywitał nas człowieczek szczupłej budowy, na jedną nogę kulejący, o ryżych kędzierzawych włosach. Z oczu tryskała lisia przebiegłość. Zacierał ręce zbliżając się do Nowaka z uszanowaniem. Na mnie zerknął z ukosa.

— Mój krewniak z poznańskiego — rzekł Nowak.

— To co innego! więc swojak — myślałem, że przebrany.

— Przybyłem rozmówić się z wami w bardzo ważnej sprawie. —

— Słyszałem, słyszałem! uszom wierzyć nie chciałem — więc to prawda, kochany Nowaku! —

— Prawda! — rzekł Nowak — i wyluszczył w krótkich słowach, że już wielki czas,

aby chłopci stanęli w obronie własnej i w obronie praw całego narodu przeciw obcym ciemiężcom. —

Rudy soltys słuchał pilnie z założonemi na krzyż rękami, a kiedy Nowak skończył, rzekł powoli:

— Kochany Bartku! — jak was poważam, omamili was — lichu was opętało! Czy my chłopcy możemy na rząd narzekać? Czy to z łaski najjaśniejszego pana nam czego odmawiają? Czy nami się nie opiekują? Niechno by Polska powstała, tobyście dopiero zobaczyli, jaka to Sodom i Gomora u nasby powstała! Przyszłoby u nas do budowy drugiej wieży Babel, a przy tej budowie szlachta znówby wzięła na kiel i zaprowadziłaby dawne polskie rządy, a nasby, jak ongi, w poddanych zamieniła. — Nie dajcie Bartku się oślepić i usidlić, bo zobaczycie! Czy nam to źle? Czemu szukać kołacza, kiedy chleb mamy! Przecież wam nie ujmuję i na Boga się klnę, że wasz poważam i kocham. Lecz przyznacie sami, że w szkołach także coś liźnąłem. (Skończył 4 klasy realne). Rządy moskiewskie, to rządy słowiańskie, — ruski lud, to nasi bracia. — myśmy wszyscy Słowianie, bracia jednego szczepu! Wezmą oni górę nad drugimi, to zobaczycie, że dawna gmina słowiańska na nowo zapanuje — będziemy wszyscy równi — i nastaną błogie czasy na wieki! —

Przyznać trzeba, że mówił z zapalem i gładko.

Nowak siedząc przy oknie bębnił palcami po stole. Kiedy soltys skończył, on uśmiechał z politowaniem. Po namyśle tak mniej więcej odpowiedział:

— Wiem o tem, żeście odcytany, lecz sądziłem, iż z książek więcej zaczerpnęliście rozumu. A kto was to uczył historii? Czy nie Moskale? Czy nie z takich książek, co wyszły pod rządową cenzurą? A co to jest cenzura? To widzicie kaganiec, nałożony na pyski wiernym psom podwórzowym, żeby nie mogły głośnym szekaniem rządowych złodzieji od waszego progu odstraszać a was przed nimi ostrzegać! Powiadacie — że, gdyby Polska powstała, toby szlachta na nowo jarzmo poddaństwa na nas nałożyła! Cha! cha! cha! śmiać się z was muszę... Niechnoby chłopci przy pomocy boskiej szarka z kraju wypędzili, tobym ciekawo wiedzieć tego, coby śmiał o zaprowadzeniu poddaństwa i pańszczyznach pomyśleć. Dawniej chłop kładł się dobrowolnie na snopku, bo był potulny i wierzył, iż takie edenaste przykazanie boskie i tak być musi. Lecz chłopu z bronią w ręku, który obcego wroga z kraju wyganiał, temu o poddaństwie ani wspominaj, bobyś oberwał po uchu, czyś ty szlachcie, czy kto inny. —

— Oj! głupi ja w porównaniu z wami —

Bartek Nowak.

8

oj głupi — przerwał sołtys. — Jak pragnę zbawienia duszy, ani mi się o tem przyśniło. —

— A widzicie! — ciągnął Nowak dalej. Tak samo z owemi carskimi łaskami. Chłopom sprzyjają, dopóki ich się boją, lecz niechno takich więcej znajdują, co jak wy myślą, to kiedy ich w mundury oblekają, do własnych braci i siostr i ojców i dzieci strzelać im rozkazują. Teraz tylko podszczuwają jednych na drugich, ale gdy wezmą ilki tylki przewagę, to ci i narodowość i wiarę odbiorą, i jednych przez drugich tępić, a potulniejszych w poddanych swoich zamieniać będą. — Powiadacie, że ruski lud, to nasi bracia Słowianie! A prawda, że Słowianie, tylko już opanowani i ujarzmieni! — A przez kogo? Przypatrz się tym opryszkom z blizka, chociażby we wojsku, a tam dalej i na urzędach. Kto oficerem? Kto sędzią? Kto przystawem? Kto urzędnikiem? Czy myślisz twój brat słowfanin? Znajdą się tacy z urodzenia, lecz z uczuć braterstwa już wyzuci. Spytaj ale drugich, z której oni ojczyzny? Wten się przekonasz, że to albo tatar, albo mongoł, albo kirgiz, albo susdal, albo gruzianin, albo fińczyk, albo kurlandczyk, albo żyd, albo Niemiec i inni. Przekonasz się, że to Bóg wie, jaka zgraja, zwabiona ze wszystkich krańców świata jak kruki do ścierwca. Oni to gniją nas, mitrząją, naszym kosztem się panoszą i nad



nami przewodzą! A Słowianie co? Stulają uszy pod harapem tej na wszystko rozpasanej różnorodnej hordy! Naszymi braćmi są uciemienięzi, z ludzkiej godności wyzuci, czy na Rusi, czy dalej, o to się nie spieram, lecz nie ci, co nami rządzą i nas sądzą. Kiedy, jak mówisz, oni dobrze nam życzą, czemużto oni naszych synów, wziętych w rekruty, nie pozostawią w kraju, tylko ich pędzą het tam na Kaukaz, albo za Ural, aby podbijali obce ludy i tam nie wiem, za jakiego kaduka czy cara, za jaką wiarę i w ogóle za co ginęli? Nie — mój bratku! mnie nie przekonasz! Gdy Polska powstanie — inaczej będzie. Niech każdy naród pozostaje na swej grzędzie i sam sobą rządzi, jak Bóg przykazał — takie jest moje zdanie i moja wiara, a tej wiary za obce cacki nie sprzedam.

Rudy sołtys przestępował niespokojnie z nogi na nogę, a kiedy Nowak skończył, zbliżył się do niego, objął go w pas i rzekł skruszony:

— Mój miłościwy Bartku! Przekonaliście mnie od razu. Byłem dotychczas ślepy i głuchy, ale bo też nikt tak jasno od serca do mnie nie przemawiał. Rozkazujcie co chcecie — jestem wasz! —

— A no! — rzekł tenże, trzeba się brać do roboty i nie zasypiać. Zwołacie radę, przemówicie do niej i żeby każdy, to jest od 18go

do 40go roku na wszystko był gotowy. Sta-  
rać się o broń, o siodła, zkąd wzięć to wzięć,  
i czekać chwili. Upatrzeć wysłużonego żołnie-  
rza, coby na dane hasło ludzi na wyznaczony  
punkt zborny prowadził. —

— A hasło? a punkt zborny?

— Kiedy się zapalą z wieczora stogi sło-  
my ustawione w prostej linii od Służewa aż  
het ku Krośniewicom i dalej, i uderzą kościelne  
dzwony na trwogę, będzie czas śpieszyć, tu  
z waszej strony do Wieńca pod las. — Jeżeli  
macie we wsi wysłużonych żołnierzy, ci ludzi  
w porządku poprowadzą, jeżeli nie ma ich przy-  
śle.

— Jest ich trzech, kulbak kozackich pięć,  
konie trzeba obmyśleć, karabinów bo nie ma,  
ale co reszta to się znajdzie. —

— No! no! znajdą się i karabiny i reszta  
się znajdzie, nie tu, to gdzie indziej, byle była  
dobra wola i ludzie się ruszyli — zakończył  
Nowak, całując sołtysa w głowę.

Ten aż się popłakał i potulnie na drogę  
nas wyprowadził.

Byłem zdziwiony tem łatwem porozumie-  
niem się dwóch dotychczasowych przeciwników.  
Zrobiłem po drodze Bartkowi uwagę, czy też  
na pewno może liczyć na tego ryżego kuter-  
nogę.

— Wyczytałem mu z oczu, że sam jak  
jaki potępieniec ludzi poprowadzi, a biada temu,

ktoby mu chciał się sprzeciwiać lub rozkazu jego nie słuchać. —

Tegoż dnia pojechalśmy do księży w Raciążku i w Straszewie. W pierwszym miejscu księżulek już stary, podobno dawniejszy rejens, a w ówczas kanonik i dziekan, przywitał Bartka ze łzą w oku, całując go w głowę. Nie wiele rozmawiali. Przyrzekł uczynić co w jego mocy. Chodziło głównie o to, aby wpłynął na innych księży swego dekanatu, żeby przeszkód nie stawiali, gdy lud uderzy na trwogę we dzwony kościelne. Na odjezdnem Bartka błogosławił. W Straszewie był ksiądz także stary, lecz krępy i rubacha gotowy na koń siadać.

— Kiedy bić, to bić — ja już zrobię, co potrzeba — tak nas żegnał na drogę. —

Co miał zrobić, nie wiem, szeptali sobie bowiem w sadku, a ja siedział na bryczce.

Inny raz pojechałem z Nowakiem do Kulpy, gospodarza w Ułomiu. Nie zastaliśmy go w domu. Wyszły do nas z chałupy dwie niewiasty. Te w płacz, a ocierając sobie łzy fartuchami, zaczęły błagać Nowaka, żeby im powiedział, co się to święci, bo ich stary od kilku dni jakby oparzony, mruczy wciąż pod nosem i przeklina, żeście zwaryowali, a teraz pojechał do gromady do Bronisławia.

Pojechalśmy za nim. Tam wstąpiliśmy do statecznego gospodarza, gdzieśmy zastali kilku-

nastu sąsiadów, bądź ze wsi, bądź z okolicy. Kulpa siedział na skrzynce pochmurny.

— O wilku mowa, a wilk tu — rzekli niekórzy witając Nowaka.

Ten przystąpił wprost do Kulpy.

— Tak się najędorzyłeś, jakbyś czerwonym nosem chciał moskali wypłoszyć — przemówił do niego.

— Jać nie — aleć podobno ty, postrzelony Bartku! — odparł Kulpa.

— Rozmawiałeś z nimi? — zapytał niezrażony Nowak.

— Rozmawiałem.

— I nie ruszysz się z legowiska?

— Nie! ja im nie wierzę. Z tej mąki chleba nie będzie. Gdybyś to ty był wojewodą, albo jakim starostą, to co innego — pomrukował z przekąsem.

— A ja ci powiadam — niechno zagrzmią armaty w domu nie usiedzisz. Na co się to zdrażać i boczyć, niby panna mająca chęć stanąć na kobiercu. Jesteś na wstępie potrzebny, żeby prowadzić baterią naprzód. Wiem ja dobrze, iż chociażbyś sam nabijał, dałbyś sobie radę. —

Uśmiechnął się Kulpa, lecz potrząsnął głową.

— Armaty! armaty! — a zkąd je wezmiecie? Gdzie one — gdzie karabiny — gdzie masz oficerów? Bartku, Bartku! znamy się nie

od dzisiaj, lecz nie wiedziałem, żeś takie dziecko. Wyciągasz rękę do ognia i palce sobie poparzysz. Rób co chcesz — ja w domu zostanę. —

— Zostań, lecz drugim nie przeszkadzaj. Znasz prawo wojenne!

Kulpa umilkł. Nowak zwrócił się do obecnych.

— Chłopcy! ilu Moskali na komorze granicznej? — zapytał.

-- Jest ich dwudziestu sześciu.

— Gdy ujrzycie którego wieczora łuny na niebie i równocześnie wasze dzwony na trwożę uderzą, wtenczas wszystkich szarków z nienacka w swą moc zabierzcie. Który się oprze — temu śmierć! Resztę powiązać — komorę podpalić, aby po pruskiej stronie widziano, że u nas gore! Dacie sobie radę?

— Tych kilku szarków — co to znaczy!? była odpowiedź.

— Wtenczas zabierzcie ich konie, broń, amunicję i co tylko się znajdzie i pod rozkazami oficera, który się tu zjawi, przyłączycie się do partyi radziejewskiej z największym pośpiechem. Tam będą wiedzieć, dokąd was dalej prowadzić. A teraz, dzieci, radźcie sami, kto ma pociągnąć, a kto w domu pozostać. Obrac sobie starszyznę a działać skrycie i milczeć!

Kto może uiech prochu i broni z Prus zorgunguje.

Wszyscy stali w milczeniu. Nowak, nie więcej nie mówiąc pożegnał zebranych każdego z osobna.

— To uparty — przemówiłem w drodze do zadumanego Bartka — gotów zapał drugich ostudzić.

— Tego nie uczyni. Zawsze szkoda, że od razu iść nie chce, byłby do artylerji bardzo potrzebny i niezawodny. Może się namyśli.

Ruszyliśmy dalej pod wieczór w okolice Izbicy. Już była blisko północ, kiedyśmy zajechali na jakiś folwark, osadzony na piaszczystym pustkowiu między jeziórkami. Budynki liche, dworek jeszcze lichszy, na wszystkie strony koślawy, smutny widok przedstawiał. Weszliśmy po zapadłych schódkach do dworku przez psów obskoczeni. Na kulawej kanapce, czy czemś podobnem, siedział szczupły, wąty, już stary mężczyzna, przyglądając nam się z pod szerokiego daszka z papieru. Powstał z wolna, psy odpędził, a zmierzwszy Nowaka zapytał:

— Czyś ty czasem nie Bartek Nowak?

Na potakującą odpowiedź, rzucił mu się na szyję z całusami.

— Jak się masz, bracie kochany? Myślałem właśnie o tobie — nie widziałem cię jesz-

cze, lecz od razu poznałem, że to ty być musisz!

Starowina kręcił się i wiercił po izbie, nie wiedząc od czego zacząć. Nagle klasnął w dłonie. Zjawiła się dziewczka na bosaka, któ-polecił, żeby stawiała na stół, czem chata bogata, i pieczysto i warzysto. Przenocowaliśmy się jak mogliśmy. Ja zasnąłem od razu, oni gwarzyli i plany układali może do rana. Ów ubogi, czy też tylko o ziemskie dobra niedbały szlachcic, był dzielnym kapitanem jeszcze z 31go roku, już nie raz na skórcę pogarbowanym.

Nazajutrz wyjechaliśmy do S. pod Piotrkowo. Dziedzic wielkiej wsi dobrze zagospodarowanej i odpowiedniego majątności wzrostu, do któregośmy przybyli, siedział właśnie za stołem przy olbrzymim półmisku zrazów i drugim półmisku innego mięsiwa, popijając herbatę. Skoro tylko zobaczył kapitana, zerwał się na nogi, rozciapierzył ręce, trzymając w jednej dłoni łyżkę w drugiej widelec i dalejże starego ścisnąć i cmokać z dubeltówki.

— A ty stary lisie! wyjrzałeś na świat z nory. Zkąd cię Bóg prowadzi? Siadajcie! siadajcie panowie do stołu, starczy i dla was.

Co prawda i dla dziesięciu by starczyło.

— A co to za panowie? — zapytał.

Kapitan nas przedstawił.

— Co? Nowak? Nowak? A siadajże, bracie! Tośto ty? Słyszałem, słyszałem.

— Myśmy tu nie na żarcie przyjechali, tylko żeby się z tobą rozmówić — przerwał ruchliwy kapitan.

— Ależ siadajcie! pomówimy. Hej tam służba! talerzy, widelców, szklanek herbaty!

— Ty jedynie o brzuchu pamiętasz, a tu sprawa ważniejsza! Pójdiesz z nami, czy nie? —

— Gdzie? jak? co? adyż siadajcie.

— Do sto tysięcy kartaczy! Tu pospolite ruszenie za pasem, a jemu tylko zrazy na myśli.

Wiem o tem, wiem o tem! To Nowak! słyszałem. Już mi ekonom i pisarz i karbowi donieśli, że moi chłopci gwarzą tylko o wojnie. Już się odgrają obrac chłopca królem polskim, gdy chłopci zwyciężą. Dla mnie — niech tam będzie i chłop królem, byle Polska była. Lecz tymczasem siadajcie do stołu.

Uparty kapitan nie dał jeszcze za wygrane.

— To nic — rzekł. Pójdą chłopci, lecz teraz powiedz, co ty wtenczas zrobisz?

— A to zabawna historia! Ty! stary, kochany borsuku! — co mam robić? Pójdą moi chłopci, to przecież sam jeden w domu przy kominie z kądzielą w ręku nie pozostanę.... pójdę i ja z nimi!



Otarł sobie oczy serwetą, która mu wisiała pod brodą, — przystąpił do Nowaka, uściskał go i usadził przy stole. Udobruchany kapitan zasiadł także. Dziedzic wziął się do kielicha alembikówki, lecz Nowak nie używał trunków rozpalających.

— O barania głowo! Hej tam — służba! wina! ryknął dziedzic, bijąc się kułakiem po łysinie.

Przy winku nastąpiło zupełne porozumienie.

— Nie tylko pójdziesz z nami, lecz musisz drugich do boju prowadzić, jak na starego rotmistrza rębacza przystało — ciągnął mowę dalej niezbyt kapitan.

— Pójdę i poprowadzę, — co żądacie, uczynię.

— Ba! ale tu trzeba obmyśleć, aby na czas były także konie, siodła, pałasze, pistolety albo rewolwery; lance bo porobią twoi kowale i stelmachy.

— Ależ ci powiadam barłogo! kiedy pójde, to i drugich poprowadzę i o to się postaram, na co mnie starczyć. Kilka pod wierzch zdalnych koni stoi na stajni — broni w Prusach dostanie.

— Nie mówię, burczał jeszcze kapitan, żebyś sam na tyle wydatku się poświęcał, lecz dołożyć starania, aby i drudzy do tego się przyłożyli, byle na czas było, co potrzeba.

Zważ, mój rotmistrzu, pójdziemy razem, nie do lasu, tylko naprzód, a nie chciałbym za ciebie się powstydić.

Dziedzic znajdował się w złotym humorze. Na odjeźdne aż nam boki od uścisków trzeszczały. Kapitan został u niego. W kilka dni dał znać Nowakowi, że do pięćset chłopów z tego kąta w pole wyprowadzą.

Zaraz wkrótce spotkałem Nowaka w Kościelnej Wsi u dziedzica Kocenta Zielińskiego.

Zjechaliśmy się niespodzianie. Rozmowa toczyła się w kancelaryi. Nowak pytał się Kocenta, ile chłopów ze swych dóbr może przywieść do zbornego miejsca na czas oznaczony. Ten zaczął składać ręce i błagać, aby miano wzgląd na jego żonę i drobne dzieci.

— Już o waszych dzieciach pamiętać będę, jeżeli mnie w domu zostawicie — mówił do Nowaka.

— Ależ dobrodzieju! tego uczynić nie mogę. Wyruszyć z domu musi każdy. Przybędzie tu zresztą kilku konnych, którzy ludowi ogłoszą pospolite ruszenie i pana zabiorą niby przez przymus. Ludzie pańscy muszą widzieć, że pan idziesz z nimi. Tam — na miejscu zbornem, można będzie pana użyć w rezerwie, a potem wysłać z jakim poleceniem na powrót do domu, bo jako niewojskowy, i tak w obozie na nie wiele nam się przydasz. Lecz nie mając lat 40 wyruszyć razem z drugimi

pan musisz. Nie ma innej rady aż na dwa powody. Szlachta musi iść razem z ludem, żeby ten przeciw niej się nie obrócił — a Moskwa i cała Europa niech wiedzą, że tu wszyscy chwytają za broń za niepodległość narodową.

Kiedy ta rozmowa przy biurku się toczyła, stary pułkownik Zieliński, wujek dziedzica, chodził po pokoju miarowym krokiem, nadstawiając ucha i paląc fajeczkę. Czasem przystanął, zadumał się, to znów splunął i znów mierzył pokój krokami. Myśmy na niego nie zważali, ponieważ w okolicy uważano go za oryginalnego dziwaka. Wtem wpada do pokoju brzuchaty, zaziajany pan Dzie. z Jar. i ledwo się z pułkownikiem i dziedzicem przywitał, rzuca się na fotel, ociera chustką pot z czoła, sapie, pucha, nadyma się, przewraca oczy i taką nowinę z przerażeniem wygłasza w urywanych słowach:

— Ach! ach! aż mnie dreszcze.... przechodzą. Zimno mi.... się robi chociaż.... upał nieznośny.... Pułkowniku i ty.... Antosiu! Czy wiecie co za groza.... zawisła nad naszą.... ojczyzną?... Szele.... Gonty.... Żelazniaki.... rzezie — mordy, jakich świat nie pamięta — nas czekają. — Czy znacie tego chama — tego draba ze Słupów — co to — gdy idzie do kościoła, to wyżej łeb nosi do góry — od me-

go cugowego arabskiego kasztana — com go kupił w Łowiczu...

Pułkownik wyjął fajeczkę z ust i zaczął się krztusić, jakoby mu mucha wpadła do gardła. Kocent niespokojny, nie wie co tu począć i jakby język tego trajkota powstrzymać. Bartek się śmieje. Widocznie pan Dzier. oślepl, czy też popadł w malignę, że Nowaka wcale nie poznał. Wziął go niezawodnie za miejscowego ekonoma. Widocznie przestrasz zamglił mu oczy — na migi gospodarza nie zważając, ciągnął relacją swą dalej.

— Otoż zważcie — ten Nowak, ten znany herszt... gorszy od Szeli — bo to ze ślepiów mu widać... namawia drugich podobnych sobie zbojów — żeby nas — prawowitą polską szlachtę wyrzynać. Wiem to ze źródła najwiarogodniejszego...

Pułkownik, nie mogąc kaszlu powstrzymać, wyniósł się z pokoju, myśmy się także za nim wysunęli. Przechodząc frontową komnatę, zostaliśmy przez pułkownika wstrzymani. Schwycił on Nowaka za ramię i tak drżącemi ustami do niego przemówił:

— Bartku! To błazen — nie zważaj na to, co on plecie. Mój Antoś znów tchórzem podszyty, za wojkiem się nie wyrodził. Znasz mnie przecież. Jestem chłopskie dziecko ze Zbłaga, z twą żoną nawet spowinowacony. Jak widzisz dosłużyłem się w młodszym wieku szar-

ży brygadiera, przy jakiej takiej nauce, głównie przez szaloną odwagę. Dziś liczę lat 65, ramię już kruche, — ale gdybyś to widział, jak ja przed laty szablą siekał po tureckich karkach! — Słuchaj, Bartku! Niech ten piecuch, moje przybrane dziecko, zostanie przy spódnicy. Ja go zastąpię. Przydam się do rady, jeśli nie do miecza. Przywdzieję mundur galowy, zawieszę wszystkie carskie ordery — chociaż mnie uważają za półmoskala, niech wiedzą, że ja nie dureń. Moi chłopci mnie kochają, to im doda ducha, gdy starego pułkownika ujrzą między sobą, na koniu, w mundurze, z szablą przy boku! Do widzenia!

Zaciął wargi, pewno od wzruszenia — uściśnął Nowakowi dłoń, ten znów ucałował pułkownika w ramię. Wyszliśmy.

Więcej razy z Nowakiem nie wyjeżdżałem, zajęty własnymi obowiązkami, lecz od czasu do czasu z nim się widywałem. Pominąwszy drobniejsze wypadki bez doniosłości, przychodzi mi z kolei wspomnieć o jego usiłowaniach celem pozyskania tak zwanych pasierbów, żeby w razie napada na Włocławek, oni z tyłów rzucili się na Moskali. Pasierbami zwano chłopów, którzy z rozmaitych powodów uciekli do Włocławka, potem uzbrojeni w lance i pistolety, zresztą po kujawsku w rogatych czapkach, niektórzy także naodziani szynelem, służyli konno za przewodników do tropienia powstańców.

Tymto pasierbom słów więcej poświęcić będzie tu na miejscu. Nie przystali oni do Moskali z jakiejś dla nich życzliwości lub z nienawiści do powstania, lecz głównie dla tego, że pod skrzydła wroga uciekać byli zmuszeni. Kilka faktów na to przytoczę.

Stanąwszy pewnego dnia w Zagajewicach, spotykam tam podsędką Pniewskiego, spisującego protokół z polecenia Władzy Narodowej.

— Co to za sprawa? — pytam.

— Głupstwo pierwszej klasy, nie warte tyle zabiegów.

— A jakie głupstwo? — pytam dalej.

— Jakiś powstaniec czy niepowstaniec, kaci go wiedzą, przejechał żonę parobka, a te chamy narobiły tyle harmidru, co nie miara i dwóch z nich najwinniejszych uciekło z żonami i dziećmi do Włocławka do pasierbów.

Biorąc ludzi na wypytki, dowiedziałem się jeszcze coś więcej. Nietylko zgwałcił żonę parobka, lecz kiedy za to chłopci skórę mu wygarbowali, co było w porządku — ów urwisz sprowadził kilku kompanów, żeby męża i brata owej kobiety powiesić. Niepewni życia, cóż chłopci mieli począć? Zostali pasierbami.

Znów raz wieczorem przybyłem do Sk. Wo. Dalej jechać nie było podobno. Ostrzeżony o Moskalach koczujących w pobliżu, lecz

nie wiadomo w której wsi — zostałem na noc. Zrana wstałem ze wschodem słońca, a ponieważ do wyjazdu jeszcze czas było, wyszedłem ku lasowi osięckiemu na przechadzkę. Chłopi wyjeżdżając z pługami na ściernisko, ostrzegli mnie, abyia dalej nie szedł. Zawróciłem, nie oglądając się za sobą. Ledwo stanąłem w pokoju, słyszę jakiś szmer — spojrzę przez okno, a tu wokoło dworu gromada Moskali i kilku pasierbów.

Przejęty strachem dziedzic wepchnął mnie do pokoju córek, te znów proszą mnie, żebym się skrył w łóżko. W tej też chwili słyszę głos z przyległych pokojów:

— Przybyliśmy na rewizyą. Ilu powstańców pan ukrywasz?

Potem słyszę śmiechy, witania, a za chwilę dziedzic woła mnie po przybranem nazwisku, jakie mi już poprzednio szepnął do ucha. Wychodzę śmiało do przyległego pokoju, lecz spojrzawszy przez boczne drzwi do pokoju, gdzie nieproszeni goście byli zebrani, zadrżałem. Poznałem rudego oficera, który u rodziców stał na kwaterze po przepędzeniu Nelidowa z pod Nowej Wsi na pruską stronę. W domu posprzeczałem się z nim, zapowiadając mu spotkanie na placu boju. Poblądłem, tchu mi zabrakło, i zamiast wejść do gości, postąpiłem do okna, aby chłypnąć świeżego powietrza. Do okna znów nadjechał konno pasierb, spoj-

rzał mi bystro w oczy, uśmiechnął się, a zażądał wódki, podając fłaszke. Zajęty szukaniem wódki nie wpadłem w oczy owemu oficerowi.

Wszedł natomiast urzędnik skarbowy z dziedzicem, polecając mi, abym bezzwłocznie wyjechał do pana Jabłońskiego w sąsiedztwie. Miał przybyć z podatkami. Bryczka zajechała z drugiego frontu wyprowadzony przez Sierzanta za widety, wyjechałem.

Pan Jabłoński ani słuchać nie chciał o dobrowolnem płaceniu podatków.

— Powiedz im pan, niech do mnie przyjadą. Za dobrowolne płacenie podatków, Rząd Narodowy pogroził śmiercią, a mnie życie miłe.

— Powiedz im to pan sam — odrzekłem — ja tam nie wrócę. Opowiedziałem mu niespodziane spotkanie.

— To sprawa fatalna. Powrócić jednakże pan musisz, inaczej uczynisz sąsiada nieszczęśliwym. Można spotkania się z rudym oko w oko uniknąć; udało się raz, uda się i drugi. Gdy śmiało powrócisz, zważać na ciebie nie będą.

Tak mi ów pan perswadował, częstował na ochotnika, że powróciłem i to szczęśliwie. Moskale zakławszy kilka razy, pociągnęli po rewizyi do pana Jabłońskiego.



Patrząc za nimi po raz drugi zdrętwiałem. Mój najwierniejszy foryś, który tyle dni i nocy, i po tylu drogach ze mną się włóczył, całował się na pożegnanie z pasierbami. Jeden z nich, dojrzwawszy mnie w oknie, czapką mi się pokłonił. Ledwo odciągnęli, przywołałem forysia.

— Człowieku! z kąd znasz się z nimi? — zapytałem.

— Z kąd mam znać! przecież z dwoma razem służyłem — oni znają i pana.

— I wiedzą, że ja i ty należymy do powstania?

— Czemu nie mają wiedzieć?!

— Jakim sposobem oni mnie znają?

— Widzieli pana u Nowaka, kiedy jechali z Ośna do Bilna z bronią.

— Czemu przystali do pasierbów?

— E! to długa historia, panie. Służyliśmy razem w Ośnie, i razem przez granicę broń przenosiliśmy. Jać nie potrzebował, ale tym dwóm pozwolił borowy za fatygę wziąć z boru trochę starych pieńków na opał i czubków także. To się wydało i dziedzic ich pobił. Tak ten jeden odgrażał się, że jak Polska będzie, to go powieszają za to, że ich katuje niesprawiedliwie. Jak dziedzic dowiedział się o tem, zaczął się śmiać i powiedział: Ja was chamy, zaraz teraz każę popowieszać. I do prawdy, panie! przyjechało kilku konnych

w mundurach i przy pałaszach. Najedli, napili we dworze, potem pytali: gdzie są te dwa chamy, co dziedzicowi się odgrażali, to ich zaraz powieszają. Ale oni się pokryli. Potem przyjechali drugi raz i trzeci raz, wypytyjąc o nich, żeby ich powiesić. Tak oni też zabrali kobiety i dzieciaki i uciekli do pasierbów.

Początek pasierbom dali chłopci ze Sokółowa. Rzecz tak się miała. U owczarza był szwagier jego, żołnierz urlopowany. Kilku konnych powstańców z tak zwanej żandarmeryi namawiało go do powstania. On się temu sprzeciwiał, zasłaniając się przysięgą, złożoną na wierność carowi. Z początku tylko go namawiali, później robili mu pogróżki. Tajemnicą, dla czego tak często tam zajeżdżali dla zwerbowania jednego człowieka, kiedy tylu bezczynnych powstańców było w okolicy rozkwaterowanych. Podobno zachodziły tam miłosne stosunki z owczarką, czemu urlopowany brat, siedzący w domu, stał na przeszkodzie. Przyszło w końcu do nadużycia. Pod pretekstem, iż winien być powieszony, jeżeli nie chce przystać do powstania, wyprowadzili owi oprawcy urlopnika pod gruszkę, założyli mu powróż na szyję — a pytając: czy chce przystać, czy nie? Na odpowiedź: nie — robili z nim próby wieszania. Wszyscy chłopci ze wsi, zebrani wokół, tej wstrętnej scenie się przyglądali. Kiedy im tej komedyi było za wiele, zakomenderował włó-

darz: chłopci, do kołków! Zbirów odpędzono, poczem rzucili się chłopci do dworskich stajni, siedli na koń i do Włocławka pod opiekę Schuldnera uciekli. Kresłę to zajście podług opowiadania chłopów zaraz po wypadku. Sprawdzając faktu na miejscu sposobności nie miałem.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że chłopci zostawali pasierbami li tylko wskutek nadużyć i gwałtów, jakich się na nich dopuszczano. Nie zawsze też powstańcy zniewalali ich do tego kroku. Trudno nawet sprawdzić, czy w powyżej przytoczonych wypadkach prawdziwi powstańcy przyczyniali się do powiększenia liczby pasierbów, czy też tylko podrobieni. Rozkiełzanego, próżniaczego żywiołu, rozmaitych włóczęgów i złodzieji, pod zaborem moskiewskim nigdy nie braknie. Temu żywiołowi w czasie powstania prawdziwy raj się utworzył. Władza powstańcza była za słaba do zaprowadzenia w kraju surowego rygoru. W okolicy zbrojny oddział nie istniał, żeby niesfornych w korbach utrzymać lub ścigać maruderów. Władze moskiewskie przestały na prowincyi spełniać swe funkcje. Ścieki społeczne więc, dopuszczając się różnych nadużyć i gwałtów, podszywały się pod płaszczyk powstańca jako najdogodniejszy, zasłaniający ich od doraźnej kary mieszkańców.

Liczba zbiegłych do Włocławka chłopów zdaje się również być przesadzoną. Liczono ich

300—400. Ja sędzę, że ich ani 200 nie było. Lecz i to gromadka pokaźna.

Dla pozyskania tych pasierbów dla naszej sprawy, jak wyżej wspomniałem, Nowak udał się do Włocławka — również jak dla zbadania pozycyi i przejścia w razie napadu na załogę. Trzymam się jego własnego opowiadania.

Tajny powstańczy naczelnik miasta był Nowakowi wiernie oddany. Dwóch żydów donosiło mu również o wszystkim, o czem się od Moskali wywiedzieli, a byli podobno dwulicowi, ni-by kobieta między kochankiem a mężem, którym był Hilferding, naczelnik policyi. Nowak zbadał dokładnie pozycyą ze wszystkich stron miasta. Naradzał się, z kim wypadało. Zaręczano mu za dwieście mieszczan do spisku należących, na wszystko zdecydowanych. Poszedł potem zajrzeć oficerom w oczy do hotelu przy starym rynku. Jedni grali w bilard, inni rozmawiali. Znany Schwarz leżał rozciągnięty nie-dbale na sofie, głaszcząc wielkiego psa czarnego, nigdy go nie odstępującego. Pies warknął na Nowaka. — Schwarz usiadł prosto. Oficerowie mierzyli z boku oczami przybyłego.

— Zkądto jesteście? — pyta jeden czystą polszczyzną.

— Z bątkowskiej parafii.

— Co tam u was słyhać? Powstańców kręci się wielu? Podobno macie zamiar zrobić pospolite ruszenie?! Na co się to przyda — szkoda

niepotrzebnego krwi rozlewu. Nasz car potężny — a wojsko ruchawki się nie ustraszy! — Mówiąc to puszczał kłęby dymu z papierosa.

Nowak w odpowiedzi wzruszył ramionami.

— Panie kapitanie! — rzekł — ja się na tem nie znam, lecz myślę sobie po prostu, że trudno z motyką rzucać się na słońce. —

Oficerowie się uśmiechnęli. On też, pokłoniwszy się, opuścił lokal. Zebrani oficerowie wydali mu się zgasiali, rozstrojeni bez żadnej buty, jakoby w kraju wcale wojny nie było, lub ją sobie lekceważyli. — Ztąd poszedł na zielony plac, gdzie wojsko się mustrowało. Stało tam także z boku kilkunastu pasierbów.

Ci zoczywszy go zaczęli między sobą szemrać. Podśłyszał głosy:

— Patrzta-go — on tu jest — niech lichy porwie.

— Nic dobrego to nie wróży.

— Cicho, chłopcy — sza! co będzie, to będzie.

Nowak śmiało się do nich zbliżył, wdając się z nimi w pogawędkę. Wtem nadszedł z drugiego końca młody drągał w żołdackim szynelu i kaszkiecie, z lancą w rękę, zoczył Nowaka i stanął jak wryty.

— Wy tu? Czy ja nie wiem coście za jeden? Ja was znam! — przecedził przez zęby.

— Chwała Bogu, mnie zna wielu poczciwych ludzi, ale ciebie, mój bracie, toby i rodzona matka w tem przebraniu nie poznała! Nie wstyd cię... wstydu bowiem nie ma w twych ślepiach! — odparł Nowak.

— Jędrak, stul pysk! — sykali pasierby. Jeden pochwyił go za gardło i piersi. — Dostkoczył oficer pytając:

— Szto jeto? szto jeto?

— To nic! prosiny pana kapitana, to ten głupi Jędrak zaczepił tu tego pomieszczyka niepotrzebnie — odpowiedzieli.

Kapitan palnął Jędrka kilka razy w kłęb, Nowakowi zaś rozkazał natychmiast się oddalić.

Z powrotem do domu otrzymał Nowak odwołanie Rządu Narodowego. Był mianowany niezależnym dowódcą sił zbrojnych, jakie sam stworzy, teraz mu tę niezależność odebrano, poddając go pod rozkazy Raczkowskiego, który uwiązył przy ciepłych wdówkach w Lubrańcu i Smulsku. Raczkowski, dzielny żołnierz, zimnej krwi, znający się na swym rzemiośle dowódca, rodem z Kluczyka pod Toruniem, był oficer pruski, walczył w Ameryce za wolność murzynów, zdolny prowadzić gotowe hufce do boju, zdawał się nie mieć zdolności organizatora. Jako mąż doświadczony z wyższym poglądem, może też był zrażony tajemniczością władzy najwyższej, wciąż się zmieniającej. Trzymał on z Mirosławskim. — Podpadać to musi, iż wów-

czas, było to już niezawodnie w połowie sierpnia, objął ster we Warszawie Rząd Narodowy, t. zw. krwawy. Działał on raczej w duchu anarchistów, nie zasad polsko-demokratycznych. Gotów wszystko druzgotać i niszczyć, nie budować nie umiał. Wierzył w bomby i sztylety, lecz nie miał wiary w siły narodu polskiego, organizowaniem bowiem tej siły do walki z wrogiem mało się zaznaczył. Być też może, iż ową terminatkę przysłał Nowakowi rząd poprzedni, już bowiem w końcu lipca zbierali obywatele pod petycją podpisy, żeby chłopu władzę wojennego naczelnika odebrać,

Degradacją przyjął Nowak obojętnie. Z jego późniejszych wynurzeń się można było go nawet podejrzewać o lekceważenie tajnego rządu. W postępowaniu swoim niczego nie zmienił. Stał się jedynie ponurym, często zamyślonym. Do oficerów, utrzymujących się umyślnie po kwaterach w pobliżu, aby w danej chwili stanąć na jego rozkazy, objawiał często swoje niezadowolnienie, dla czego dnia pospolitego ruszenia nie wyznaczają, kiedy pora po temu najpomyślniejsza. Ponurość jego się podwoiła, gdy doszła wieść o dymisji Calliera.

Oficerowie Nowaka zbierali się w łowickim brzeźniaku na instrukcją. Byli to mężowie stateczni, wszyscy wojskowi. Jeden z nich był pruskim podchorążym konnicy, rodem z Prus Zachodnich. Znałem osobiście Kossakowskiego,

Kalinowskiego i Drygalskiego (niemca) i przynajmniej dziesięciu innych z widzenia tylko. W doborze pomocników był Nowak nawet wybredny. Wspomnę tu o sprawie panów Moczarskich. Ojciec, poczciwy szlagon, przywiózł do niego dwóch synów dorosłych, polecając ich na adjutantów. Jeden z nich był już podobno adjutantem Zejfryda. Nowak znał paniczów, niedalekich sąsiadów, więc tak się odezwał do dziedzica, czyniącego z synów ofiarę:

— Mój Dobrodzieju! nie jestem rzeźnikiem, żeby ich ślać na pierwszy ogień, którego adjutant uniknąć nie może. Dziękuję za zaufanie, lecz pańscy synowie mogą z początku być co najwięcej podchorążymi. Dopiero gdy nabiorą wprawy w robieniu bronią i obrotów, oficerami zostaną. Na adjutantów przy mnie im daleko. Jestem głupim chłopem, więc muszę się otoczyć takimi ludźmi, coby w potrzebie za mnie głową nie podrwili.

Zdolności oficerów Nowaka oceniać nie miałem sposobności, lecz podziwiać musiałem śmiałość i przebiegłość jednego z nich, przeznaczonego na ordynansa. Był nim Kalinowski, rodem z pod Kwidzyna, podoficer pruskich czarnych huzarów, ujeżdżacz koni cyrku Rentza, służył już pod Padlewskim, później pod Kolbą.



Spotkaliśmy się z Nowakiem w Sarnówku  
— Kalinowski przejeżdżał.

— Dokąd to? pyta Nowak.

— Do Włocławka! Korfiniego mają powiesić — trzeba go uratować.

— Zdałby nam się... jedź! Wątpię czy ci się uda — a pamiętaj o własnej szyji! radził Bartek tak obojętnie, jakby tu chodziło o grę w karty.

Kalinowski pojechał do Włocławka. Z Podzamcza trzeba było przejść do miasta przez Zgłowiackę po moście, na którym stał posterunek, przepuszczający tylko za legitymacją. Widząc przejście utrudnione, wpada w Podzamczu do fabryki świec i przedstawia się jako powstaniec właścicielowi — Niemcowi. Ten o mało ze strachu ze skóry nie wyskoczył. Pyta przerażony, czego pan powstaniec żąda. Kalinowski najpierw się ogarnął, wyelegantował, zakręcił wąsik węgierski, w końcu zażądał, nic więcej, tylko dwa pudełka próżnych paczek od świec i kilka rubli. Otrzymawszy to, wziął paczki pod pachę, przestępującego mu drogę moskala na moście potrącił, wydurniał go za ślepotę i krótką pamięć, że go nie widział czy zapomniał, iż przed chwilą szedł z miasta do fabryki po świece — i śmiało wszedł w miasto. Sołdat się zagapił, dając za wygraną. Poszedł potem K. do naczelnika miasta ustanowionego z ramienia Rządu Narodowego. Po przedsta-

wieniu się zażądał pomocy do uwolnienia Korfiniego. Zatrwożył się naczelnik, przedstawiając mu niemożliwość wykonania tak szalonego przedsięwzięcia, ponieważ więźniowie osadzeni w sklepach kolegiaty, dokąd nikt z cywilnych nawet zbliżyć się nie może. Jako były komedyant, wymuskawszy się na dandysa, zajęchał dryndą do hotelu między oficerów. Związał z nimi znajomość, wdał się w gry i hulankę, pilnie nadstawiając słuchy, któryby z nich był Polakiem. Kiedy jednego wymacał, przedstawił mu swoje życzenia, prosząc o pomoc. Oficer nasrożył się i pogroził mu aresztowaniem, lecz widząc jego beczelną obojętność, zatknął uszy, nie chcąc z waryatem nic mieć do czynienia. Na nie wiele to mu się przydało. Kalinowski wymógł na nim w końcu, iż wskazał mu takiego kolegę, który coś podobnego uczynić będzie może gotowy. Na daną rekomendacją udał się do mieszkania wskazanego oficera i w istocie pomoc jego pozyskał. Zamieniwszy cywilny ubiór na mundur, paradował po mieście, odgrywając rolę oficera d'ordonnance nowo przybyłego. W owe czasy było to możebnem wskutek częstych zmian wojska i oficerów, wzajemnie się nieznających. Tyle w końcu dokazał, iż z dyżurnym *kolegą* dostał się do lochu, rozmawiał z Korfinim i skłonił go do próbowania nazajutrz ucieczki. Wskazał mu plan dobrze obmyślony. Każdy więzień prowa-

dzony był na ustęp przez dwóch żołnierzy, którzy przed drzwiami kloaki zostawali. Otóż Korfiniemu polecił, żeby nazajutrz wszedł do przedziału graniczącego z przedziałem oficerów, od którego klucz mu powierzył. Z jednego przedziału do drugiego deski były już poodrywane i wisiały tylko na wierzchnich gwoździach. Korfini miał je odsunąć, wejść do przedziału oficerskiego, tam się przebrać w mundur oficerski na to pozostawiony i wyjść śmiało. Liczono na gapowatość żołnierzy, że podstępnie się nie domyślą i mniemanego oficera przepuszczą. Plan możeby się i udał: na nieszczęście wieczorem Schwarz odbył nową inkwizycją z Korfinim, który był tak zbity knutami, iż nazajutrz na nogach prosto utrzymać się nie mógł. Próbowania ucieczki zaniechał. Przygotowany mundur i oderwane deski w kloace odkryto. Zrobił się we Włocławku wielki alarm, a nasz ujeżdżacz ledwo ujechał z duszą na suszą. Korfini został powieszony. Był on rządcą gospodarskim z zawodu. Na Kujawach utworzył pierwszy oddział żandarmów narodowych.

Nie poprzestając na pierwszych oględzinach, udał się Nowak w kilka dni po raz wtóry do Włocławka. Po załatwieniu czego było potrzeba, wstąpił do pewnego kupca w szerokiej ulicy. W gościnnym pokoju zastał dwóch oficerów, od dragonii i piechoty, szukających coś na rozpostartej mapie.

— Tu Słupy — powiada jeden.

Nowak się poruszył, zdjęty ciekawością, co to ma znaczyć, zaczął z boku rozpostartej karcie się przyglądać. Jego ciekawość nie uszła baczości oficerów.

— Pewnoby wam się przydała? — mówi jeden.

— I to dobre — komu potrzeba — odrzekł.

— Znacie wy wieś Słupy?

— Znam.

— Pokażcie na karcie.

Poszukał Nowak Słupy i wskazał, lecz równocześnie drgnął. Wieś jest przeszło ćwierć mili długa, a jego osada pierwsza od Bątkowa. Właśnie w tem miejscu był na karcie świeżo naznaczony krzyżyk.

— Znacie wy Nowaka w Słupach?

— Tak! to mój najbliższy krewny.

— Wyście pewno taki dobry jak i on. Wszyscy jednego czarta warcie jesteście. Chce wam się pospolitego ruszenia? Spróbujcie — buntujcie się! Nie tylko wszyscy zginiecie, lecz i żony i dzieci wasze padną ofiarą; wasze sioła i miasta pójdą z dymem, tylko gruzy i popieliska po was pozostaną.

Tak mówił po polsku z litewską oficer piechoty. Na to wrzasnął oficer dragonii po moskiewsku.

— Bredzisz! Jeżeli się mają bić, niech się biją wszyscy. Wtenczas będziemy wiedzieli, że mamy do czynienia z Polakami a nie z ptasznikami. Gdy Polska będzie i wam lepiej będzie i nam lepiej będzie.

Pożegnał Nowak oficerów, oddających mu nawzajem grzeczny ukłon, wsiadł na bryczkę, i pogrążony w złowrogich przecuciach powracał do domu. Został więc zdradzony. Czy przez chłopów? czy przez żydów? czy przez mieszczan? czy przez pasierbów? Dziś wiadomo przez kogo. Na Kujawach otrzymało kilku obywateli medale wyraźnie z napisem po rusku: *za pokromienie polskiego powstania*. Otrzymał taki medal także biskup Bereśniewicz. Po śmierci wisiał ten medal na jego trumnie między innymi insygniami, a pokazywali go sobie, i przyglądali mu się, i czytali napis — liczni uczniowie szkoły realnej, gdy stali w asystencyi przy katafalku.

Po drodze wstąpił Nowak w Bątkowie do nauczyciela. Za chwilę przypadło do jego bryczki, stojącej przed szkołą, kilku dragonów, pytając: czyja to powózka.

— Nowaka — odpowiedział chłopiec spokojnie.

Jak opętani popędzili dragoni z powrotem na drugi koniec wsi przede dwór, gdzie stał rotmistrz z plutonem konnicy. Widząc co się dzieje, kazał Nowak chłopcu jechać ostro do

domu, sam zaś ukrył się w próżnym dole od kartofli, lecz nie czując się w nim bezpiecznym, wyskoczył z niego i pędził co tchu ku cmentarzowi, z kąd chciał dostać się do bliskiego zagajenia. Nadjechali przed szkołę dragoni; puściło się trzech za nim i byłby dognany, lecz pościg na dany przez komenderującego rozkaz napowrót zawrócił. Uciekający dobiegł wolniejszym krokiem zagajenia i położył się na jego krawędzi. Było ztąd widać drogę, a w dali jego zabudowania, jak na dłoni. Moskale pociągnęli stępą wprost do jego mieszkania. Na miejscu wy pytali o gospodarza, gdzie był i gdzie się teraz znajduje, rozglądali się po miejscowości i po okolicy, i nie złego nikomu nie uczyniwszy, spokojnie z powrotem odciągnęli. Był to dopiero początek.

Nastaly dla Nowaka dni ciężkiej próby i pokusy. Moskale już nie w znaczniejszych oddziałach, lecz po sześciu, dziesięciu, uwijali się w okolicy. Po wsiach pozaprowadzali nocne chłopskie straże, mające podejrzanych chwycić i odstawić. Te straże więcej jednakże służyły Nowakowi, dając mu za dnia, czy w nocy, manowcami znać, jak tylko jakie wojsko z Włocławka wyruszyło. Z tej strony nie było obawy, wiedział bowiem naprzód, kiedy go mogą najechnąć. Ile razy to się powstarzało? powiedzieć nie umiem.

Swoją drogą wydawał Nowak jak dawniej różne polecenia. Co będzie to będzie, kazał materiały wojenny sposobić i gromadzić. Przy mnie dał rozkaz trzem konnym z kawaleryi, żeby w krotoszyńskim lesie rozporządzili struganie drążków do kós i lancy. Jeden z powstańców, używany do zakopywania broni, schwytany przez Moskali, wszystko wyśpiewał: gdzie się broń znajduje i kto ją zakopać kazał. Dowiedział się Nowak o tem, nakazał ze wszystkich miejsc broń przewieźć gdzieindziej, zanim rewizya przybyła. Wodząc za sobą owego powstańca, moskale szukali na wskazanych im miejscach, lecz nie znalazzy, za karę bez wyroku po drodze go ubili, w mniemaniu, że zdrajca za nos ich wodził.

Były to ciężkie czasy. Nawet w długich butach i w burkach chodzić zakazano. Rozkwaterowanych powstańców z różnych oddziałów tułało się na Kujawach i w sąsiednich powiatach kilkuset jeszcze. Ci błagali przez posłów Nowaka, żeby ich zgromadził i stanął na ich czele. Chcieli ginąć z bronią w ręku, niż pojedynczo wpadać w ręce wroga. W znacznej liczbie byli to zbiegowie z wojska pruskiego. Także chłopci od Kowala, od Lubienia, od Lubrańca, od Izbicy, szli do Nowaka z zapytaniem, kiedy mają się ruszyć, umyślne deputacye, często na bosaka z batem lub kozicą w ręku dla omylenia czuj-

ności moskiewskiej. Dziady przed kościołami gwarzyły o chłopskiej wojnie i o królu polskim z chłopskiego stanu, a parobczaki zacierali ręce. Pan Loga, zagorzały Nowaka zwolennik i sąsiad, jeździł na własnej bryczce od gminy do gminy, utrzymując ducha między chłopami, żeby czuwali, bo niewiadomo którego dnia i godziny wszyscy powstaną. Szlachta uważała go za postrzelonego. Tak nazywają pasorzyty każdego, co w brzemiennych chwilach dobro społeczne przekłada nad sprawy domowe. Moskale lepiej na nim się znali, wyznaczając za jego głowę wysoką nagrodę. On na to nie zważał. Sypiał pod gołym niebem na bryczce, albo w pierwszej lepszej chacie, gdzie chętnie przyjmowany agitował w pośród zgromadzonych sąsiadów. Na Orлу spotkał przeszło 60 zropanzonych rozbitków jakiegoś oddziału, po części uzbrojonych. Stanął na ich czele, uzbroił ich w broń wykopaną, śląc do Nowaka orędzie, żeby się ruszył i z nim połączył. Ten jednakże rozkazał Łodze natychmiast ludzi rozpuścić.

— Ogieńby zapłonął, — mówił później — mieliśmy do zimy jeszcze dwa miesiące przed sobą, konnicaby ściągnęła, chłopiby powstałi. Ale co po tem? Taczanowski już kraj opuścił, Raczkowski gdzieś się zagrzebał, Kwiatkowski milczał — niewiadomo czyby wyżsi oficerowie w obozie stanęli — a ja z niezależnego naczel-



nika zdegradowany. Gotowiby mnie naprawdę Szelą ogłosić i od złowrogo powstaniu usposobionej szlachty i od Rządu Narodowego.

Czas szybko upływał. Powstanie w warszawskim i kaliskiem konało. Uciekali wojskowi za granicę, uciekali i cywilni dzierżyciele władzy narodowej. Ci ostatni umieli się przynajmniej na podróż zabezpieczyć, zdzierając po drodze z dziedziców dowolne kontrybucye za pokwitowaniem wystawionem na *carte blanche* pod pieczęcią Orła i Pogoni, których zapasy mieli w kieszeni. Byłem świadkiem takiej manipulacyi.

Nastaly już dobre śrony, lecz kapusty jeszcze nie sprzątnięto. Spotkałem Nowaka w Rużkach. Miał na ramieniu dubeltową gwintówkę i dwa rewolwery w kieszeni. Kiedy już dobrze się ściemniało, wziął mnie ze sobą. Szliśmy przez Bachorzę na drugą stronę ku Słupom.

— Szarki mnie dziś napadną — może już tam są. Jestem jakiś niespokojny, obawiam się, żeby mnie czasem nie podpalili. Idźmy zobaczyć, co się w domu święci,

Ciemna noc zapadła, że oko wykół, lecz już zdala posłyszeliśmy przed jego domostwem jakiś rozhovor. Zbliżyliśmy się kapuśnikiem niemal do samej drogi, czołgając się na brzuchach. Może na dwadzieścia do trzydzieści kroków od nas kozacy okładali przed domem

knutami jego pasierba. Kiedy i jego własną żonę liznął któryś batogiem, Nowak złożył gotową broń do ramienia. W tej chwili, klęcząc z boku, chwyciłem instyktownie za brantki — kurek spadł mi na palec i broń nie puściła.

— Masz słuszność! — szepnął do mnie.

Cofnął się w tył, ja za nim. Kiedyśmy na powrót w Bachorze (dawniej trzęsawiska, teraz łąki) się oddalili, zacząłem mu przedstawiać, iż było niepodobieństwem nam dwóm uderzyć na kozaków, których było jakie dwudziestu, może i więcej.

— Ta hołota uciekłaby od pierwszego strzału, dwóchbym od razu zesadził. Ale potem...? Zabieraj, żonę, dzieci i uciekaj! Jutroby powrócili i srodzeby się pomścili. Zostałyby tylko popioły.

Przeszliśmy z powrotem przez kanał na drugą stronę i zapukaliśmy do młynarza na jakiejś kolonii. Młodzi jeszcze małżonkowie wpuścili nas do izby, a ujrawszy Nowaka załamali ręce. Młynarka natychmiast grubemi chustami okna zasłoniła, napaliła ogień, napięła placków na kartoflach i dała nam kawy. Dopierośmy się spostrzegli, żeśmy obaj byli głodni. Młynarz wybrał się do stodoły po słomę, wprzód jednak zawołał psy do izby, żeby czasem nie szczekały i kozaków, mogących to zauważyć, nie zwabiły. Na wygodnem pośnaniu przy piecu

przespaliśmy do rana. Młynarka zatrzymała nas do drugiego śniadania, żeby nas jaknajlepiej uwenerować. Tymczasem młynarz pobiegł do Słupów na przespiegi.

— Skończyła się parada! Trzeba się w poznańskie wynosić... — rzekł w zadumaniu Bartek.

— Pójdę z wami — co tu robić?!

— Nie, mój bratku! Gdyby nas dwóch wspólnie schytano, przepadliśmy!... Pojedynczo każdy z nas prędzej wyłgać się może. Powracaj sam i to jak najprędzej. Tam się zobaczymy.

Rozstaliśmy się. W kilka dni potem przeszedłem granicę przez Michałowo do Głoykowa, gdzie zatrzymałem się w domu szkólnych towarzyszy, jeszcze nie mogąc powracać w progi rodzinne dla nieskwitowanego z władzą rachunku.

\*

\*

\*

W pierwszą czy drugą niedzielę spotkałem Nowaka przed kościołem w Pieraniu.

— Nie trzeba nigdy tracić nadziei... powstanie jeszcze się kołace — rzekł do mnie. W niektórych okolicach przezimuje — na wiosnę znów rozpoczniemy. Rozmawiałem z naszymi. Trzymaj się mnie blisko, może będziesz potrzebny. Jestem tu w Baśkowie u szwagra brata.

Jesteśmy Polacy z tego znani, że podajemy zwykle musztardę dopiero po obiedzie. Tak było i w 1863 roku. Dopiero w 10 miesięcy po rozpoczęciu powstania zaczęto broń zwozić. Była to broń doborowa: karabiny, rewolwery, pałasze, nawet armaty — i to w znacznej ilości. Czy tak wszędzie było, nie wiem, ale na Kujawach w czasie mego pobytu w pasie granicznym miałem sposobność o tem się przekonać, ponieważ mój znajomy z Bydgoszczy ją przewoził, czasem w asystencyi żandarmów, którzy o tem może nie wiedzieli. Przez jego tylko ręce dowieziono, na linię od Grabia do Jerzyc karabinów 2000 i sześć armat. Wspominam o tem, ponieważ jeżeli kiedy, to z wiosny 1864 roku, przy tyle broni, powstanie miało szanse powodzenia. Powstańców z ogniem już otrząskanych i świeżego ochotnika wszędzie było pełno — pruscy żołnierze ino wzdychali, żeby chyłkiem dostać się za miedzą, a chłopci daliby się zawsze poruszyć. Brak było oficerów a szczególnie umiejętnej organizacyi.

Upadły już śniegi i mrozy przyskwartły; nastąpiła gruda, lecz nie pomnę, czy to było w grudniu, czy później. Nowak przyszedł do mnie do Głoykowa i zabrał mnie ze sobą. Po drodze rzekł:

— Musisz udać się z depeszą za kordon do starego pułkownika; przywieziesz od niego

wiadomości i fortografią Schwarca, który tu w poznańskim nas tropi, udając komisarza Rządu narodowego. Na Trojaczku ma się zbierać obóz — to fałszywy alarm, sprawka tego Schwarca, żeby naszych, spieszących na ten punkt zborny, wyłowić — trzeba będzie go „sprzątnąć.“

Zaprowadził mnie Nowak do Paprosa, do gospodarza Patyka, gdzie mi kazał przebrać się po kujawsku. Jechały furmanki po kamienie pod Ułomię, więc miałem być fornałem na jednym wozie, żeby niepodejrzanie przez graniczą komorę się przemknąć. Młody gospodarz Mierzwicki (z Opok) powierzył mi swoją czwórkę, sam zaś przysiadł się do innego fornała. W tej wyprawie miałem kilka przypadków, mogących być dla mnie fatalnemi, dla tego wspomnę o nich słów kilka.

Niewprawny, do jazdy czwórką, zaraz za wsią na skrócie przez rowik przewróciłem koziołka pod przednie koła i końskie kopyta. Przyskoczyli parobcy mi w pomoc i jakoś dosyć szczęśliwie z całemi żebrami napowrót na wóz się dostałem.

Na granicy przy łańcuchu przysiadł się znów do mnie wachmistrz objeszczyków, żeby podjechać do swego mieszkania przy końcu wsi Bronisławia. Miałem obawę podpaść mu w oczy, lecz jakoś moje przebranie uszło jego baczności.

Ledwośmy stanęli na miejscu przy kamieniach, przypadło do nas pędem sześciu kozaków, lecz widząc nas zajętych ładowaniem kamieni, wy pytali nas: z kąd jesteśmy, przyjrzeni nam się, i jak przybyli kłusem odlecieli. Odczekawszy jeszcze chwilę aż kozacy znikną z widnokregu, puściłem się pieszo otwartem polem wprost na Bilno.

Przechodząc ukośnie przez trakt, spotkałem niewiastę ubraną z miejska. Zapytałem ją, czy w stronie Dobrego poza laskiem nie widziała Moskali? Niewiasta zmierzyła mnie od stóp do głowy i przyglądała mi się ciekawie. Niezawodnie zauważyła, iż moja postawa, buty, spodnie, a może i chustka na szyi, nie licują z zwierchnią siermięgą i ze starym kapeluszem, tak zwaną smolnicą na głowie. Pomruczała coś pod nosem i poszła dalej. Była to moskiewka, żona granicznego objeszczyka, jak później się dowiedziałem. Spotkała ona po drodze oddział Moskali i wskazała im ślad za mną. Już mi jałem Bilno dochodząc do Ujmy. Spuszczałem się właśnie z górki na dół polem obok owczarza wypasającego owcami oziminę, a ten mnie zatrzymuje i wskazuje na kozaków pędzących na złamanie karku ni by w naszym kierunku. Kozacy byli jeszcze daleko przynajmniej na pół mili, to też nie wiele nimi się zaprzatając poszedłem dalej do Małej Ujmy, gdzie wstąpiłem

zaraz do pierwszego gospodarza Cichockiego, szwagra Nowaka. Przywitałem gospodarza i żonę, przynosząc im pozdrowienie za miedzy — oni też uradowani sadzają mnie w tylnym pokoiku za stołem. A w porę trafiłem, na stole bowiem stała gęś pieczona, mało co napoczęta, zaprawione owoce i szklanki do herbaty, a w pośród nich gąsiorok z arakiem. Dopiero co odjechał gość nieproszony, znany łotr wójt Kowalski, który przybył kusić Cichockiego, żeby tenże namówił Nowaka do powrotu, zaręczając, iż mu przebaczą włos z głowy mu nie spadnie Cichocki ugościł wójta, co nawet jako sołtys z urzędu uczynić był zniewolony, a teraz radował się, że go czarci z domu wynieśli przed mojem przybyciem. Zasiedliśmy więc do stołu gotowego, wesoło, ochoczo, zarzucając się wzajemnie pytaniami. Chciałem już ściągnąć siermięgę, bo mi było za gorąco, wtem wpada najstarsza córeczka, zasuwając drzwi i jeszcze barami podpira, lecz z przerażenia już nawet mówić nie może. Z drugiej strony ktoś do drzwi rumece i usiłuje przemocą je wysadzić, przytem słyszemy moskiewskie przeklęcia. Przytomna gospodyni chwyta mnie za bary i wpycha do komory, lecz drzwi zamknąć na klucz już nie zdążyła.

— Otwórz, głupia! co to jest? — mówiła potem głośno do córki.

Otworzono i wpadł sierżant rozwścieklony do pokoiku — żołnierze pozostali w tyle.

Pyta — dla czego przed nim drzwi zaparto? Gospodarz odpowiada, że głupia dziewczyna tak żołnierzy się boji, więc zaparła ze strachu. Sierżant udobruchał się i pogłaskał ładne dziewczę pod brodę, żeby żołnierzy się nie bała. Zwrócił potem uwagę na stół zastawiony, pytając kto tu gościł, i gdzie teraz gość się znajduje. Uprzytomniały gospodarz opowiada z najśłodszą miną, że był u niego wójt w sprawie urzędowej, trzeba go było uraczyć, a właśnie w tej chwili odjechał.

Pokoik był tapetowany, drzwi do komory w ścianie z desek także zatapetowane, lecz niezupełnie zamknięte, przytem szpary w około i rączka od zamka widoczna. Tego sierżant jednakże nie zauważył. Pieczona gęś i butla araku tak pochłonęły całą jego uwagę, iż niezawodnie i tapety i szpary i zamek przy drzwiach w oczach mu się troiły. Zmiarkował to Cichocki więc zaczął go częstować. Sierżant wypił czarękę, wypił dwie, nalał sobie araku we flaszkę, a wymawiając się, iż niema czasu do jedzenia, przyjął w papier ćwiartkę gęsiny, przymówił się o krajanek sera, w końcu gołnął trzecią czarękę araku. Teraz dopiero, będąc w złotym humorze, opowiedział na prędce Cichockiemu, że chwycili już pięciu polskich żandarmów, a w tej chwili



zrobili obławę na niebezpiecznego ptaszka w chłopskim ubraniu, który co dopiero przyszedł do Ujmy i siedzi tam dalej w oberży, bo pytany owczarz powiedział, iż tam właśnie prosto podążał.

— Nie ujdzie nam ten miateźnik, sukin syn, bo już wszystkie domostwa wojskiem obszczone i wszędzie będą ściśłą odbywać rewizyą — tak się podochocony sierżant pocieszał.

Stojąc cicho w kącie komory dreszcze mnie przeszły po skórze na myśl, jakby to ona wyglądała, gdybym się dostał w łapy tych oprawców. Tymczasem gospodarz wywabił moskała do pierwszej izby i dalej przed dom, gdzie więcej stało żołdaków. Zacząłem sobie rozważać, czyby się nie ukryć w dzieży od zarabiania ciasta i nakryć się koponką? Zachodziło tylko pytanie, czybym się tak skurczył, iżbym mógł w dzieży się pomieścić.

Z tych rozmyślań wyrwała mnie Cichocka wypychając przez pierwszą izbą w podwórze na Opatrzność Bozką. Przemknąłem się do stajni, gdzie w stare łachmany na nowo się przebrałem. Przyszedł do mnie Cichocki, radząc mi ukryć się w sianie nad stajnią.

— Nie głupim! tam najprędzej szukają i mogliby lancą brzuch przebić — odrzekłem i poszedłem do stodoły, w której młóciło trzech parobczaków. Wziąłem cepy i z nimi młócić

zacząłem. Przyszło więcej moskali, lecz jako u sołtysa, przed którym wisiał „oreł carski,“ ściśle nie rewidowali. Za to konni zabierali w sakwy umłóconą mieszaninę, nie pytając o pozwolenie, a ja ich trzonkiem od cepów odganiałem. Inne domostwa szczelnie przetrząsano; w Bilnic poodrywali nawet podłogi, broni szukając. Gospodarowali tak może przez godzinę, potem w dalszą ciągnęli drogę. Kiedy już odciągali wyszedłem przed wrota, żeby ich policzyć. Było ich 5 do 6 set konnicy i piechoty, tej ostatniej połowa na wozach.

Trudno pojąć, za kim ci moskale gonili, ponieważ powstanie na wiele mil w okrag zupełnie się rozprzegło. Na jednym wozie wieszono aresztowanych, pobitych, posinionych i odrapanych. Poznałem z nich jednego — był nim Głuszkowski, krawiec z Warszawy, syn czy kuzyn ekonoma z Nagórek.

W kilka godzin później puściłem się w dalszą podróż; Cichocki mnie odwiózł spory kawał drogi. Już ciemniało, kiedy dochodziłem do Kościelnej wsi. Powietrze było łagodne jak na porę zimową. Naprzeciw mnie szedł odewsi ksiądz Michalski, odmawiając pacierze. Kiedy go mijałem, pochwaliwszy Boga, spojrział na mnie z boku, poznał mnie może, szepnął bowiem tylko te słowa; Moskale we wsi. — Przystanąłem, spojrzę ku wsi — a tu jedzie

trzech konnych — niezawodnie wideta. Iść naprzód było niepodobieństwem, zawróciłem więc, schodząc w rów po za wierzby. Nie wiem, coby dalej nastąpiło, lecz dojrzałem mostek. Był wązki i niski, ale trudna rada, wcisnąłem się pod niego. Mój Boże! co ja tam wycierpiałem! Dwóch konnych pozostało na widcie tuż niedaleko mostku, czasem przez niego z nudów przejeżdżali. Ja siedziałem jak trusia, skurczony, okostniały od zimna, a na domiar złego kaszel mnie dusił. Ten czas kilkagodziny wydawał mi się wiecznością. Późno w noc zauważyłem ruch wojska, — cały oddział przechodził przez mostek. Szło więc to wojsko tą samą drogą z powrotem, jeżeli ono było to samo, które przed kilku godzinami widziałem. Kiedy już miarkowałem, że i tylna straż przeszła, wywlókłem się z pod mostka, lecz ledwo na nogach mogłem się utrzymać. Zdało mi się, że wszystkie kości we mnie połamane. Pociągnąłem do dworu. Przeleciało jeszcze pięciu konnych, niezawodnie oficerów, co dłużej się zahulali, lecz ci nie zwrócili na mnie uwagi.

Kiedy przyszedłem do dworu, już drzwi zamknięto. Chcę wejść, lecz lokaj za drzwi mnie wypycha. Zacząłem go durniać, iż mnie nie poznaje, ale to nic nie pomogło. Poznała mnie jednakże po głosie panna Kasy... przywołała dziedzica Koczenta, który spojrzawszy mi w oczy,

zatrwożył się i wciągnął mnie szybko do pokoju, przykazując lokajowi, żeby milczał o tem, co widział.

Było już po 11 godzinie, siedziałem więc pod mostkiem około pięć godzin na mrozie, lekko ubrany.

Nazajutrz, przebrany za panicza, odjechałem powozem z panną Kas... wówczas wielką patriotką, obecnie żoną generała, wychowującą dzieci na „prawornych sług carskich.“ Pieszko powracać mi odradzono. Wiozłem ze sobą papiery niewiadomej mi wartości, dwie fotografie Schwarca i fotografią jakiegoś szpiega, byłego powstańca, bobrującego w Poznańskim. Owego Schwarca napadnięto później z polecenia Nowaka, pod Markowicami, lecz bezskutecznie. Kara Boża za prześladowanie, katowanie i powieszanie Polaków jednakże go nie ominęła. W trzy ćwiercie roku później, bujał sobie na łodzi, zwanej „Utopie“ (którą oglądałem) na falach Wisły pod Włocławkiem. Były w łodzi cztery osoby: Schwarc, wówczas już pułkownikiem mianowany, jego żona, siostra żony i tejsze amant, jakiś podpułkownik. Wzburzonej Wiśle znacnie podobały się żarty Schwarca, drwiącego z jej mętnych toni na swej żelaznej Utopie. Łódź zaczęła się kołysać i wirować, a chociaż silną sterowana ręką, wpadła między dwie wielkie berlinki stojące na kotwicy. Właśnie w takich

przesmykach prąd wody bardzo gwałtowny. Żagiel się zwinął, łódź się wykręciła i przewróciła, grzebiąc w nurtach pieniających się fal Wisły wszystkie cztery osoby.

Moskale twierdzili potem, że ich „Utopie“ nigdyby ich naczałstwa nie utopiło, gdyby nie szyper Polak, stojący na berlince. Ten z nienawiści do wrogów miał bosakiem łódź pograć — czemu wierzyć nie można.

Na grobie Schwarca, pochowanego na katolickim cmentarzu, tuż przy murze, postawiono wielkich rozmiarów granit surowy. Przez wir powietrza ten olbrzymi kamień na mur wywrócony, takowy wywalił. Fakt jest faktem — z czego ludzie zaraz wywnioskowali, że to djabli z katolickiego cmentarza luką obalonego przez nich muru, duszę Schwarca unieśli.

Panna Kas..., odwiozła mnie do Smarglina. Dziedzic tej wioski bał się odwieść mnie dalej do granicy i podwody dać nie chciał. Na razie nie wiedziałem co począć, iść bowiem pieszo, w eleganckim ubiorze między kręcącą się strażą graniczną, było niepodobieństwem. W toku mowy wspomniał dziedzic o dwóch fornalkach, powracających ze słomą do Kobielic, wsi leżącej nad granicą. I to dobre. Po krótkim targu fornal mnie zabrał. Zagrzebany w słomę rozmawiałem z nim przez całą drogę — o powstaniu. Przyznałem się nawet, że jestem wysłań-

cem Nowaka. Chłopisko o mało się nie popłakał, opowiadając mi, że oni byli już zmówieni, i mieli z inspektorem napaść najbliższy kordon, lecz do tego nie przyszło, niewiada dla czego? Zrobiłem mu nadzieję, że co się odwlecze, to nie uciecze, ino wiosna nastąpi.

Proponował mi fernal nocleg u siebie, byle mnie wielu ludzi nie widziało, bo i u nich jak wszędzie, mówił, jedni od Boga drudzy od czarta. Chciałem jednakże zaraz tego wieczora przedostać się przez granicę, a nie miałem ochoty, by mnie ci od czarta widzieli, dla tego zesunąłem się z woza, przez nikogo niespostrzeżony, do starego dworu. Zostałem panią domu, bladą słabowitą niewiastę i starego wiernego lokaja. Owa pani dotychczas żyje i podobno heród niewiasta. Po opowiedzeniu im, z kądem i z czem powracam, zauważył lokaj, iż wieczorem przejście przez granicę, dla czujnych czatów, niemożliwe; radził mi przenocować się i przejść granicę z rana, o tej porze, którą upatrzy. Zostałem więc na noc we frontowym pokoju. Pani długo ze mną rozmawiała wieczorem, a kiedy jej opowiadałem różne epizody powstania i wspomniałem o powieszeniu dziedzica Czer,.. zalała się łzami i rzekła: „Mój Boże! to był mój ojciec — niech mu Bóg grzechy odpuści!“ To wyznanie tak mnie ubodło, że aż pot wystąpił mi na czoło.“ Więc

ja powstaniec nocnje u córki tego, którego powstańcy powiesili!“ ta myśl przejęła mnie trwogą. — Zauważyła znękana pani moje pomięszanie, rzekła bowiem:

— Nie lękaj się pan — tu jesteś bezpieczny. Wprawdzie zapuka w nocy do okna patrol kozaków, lecz to niech pana nie przeraża. Dzieje się to każdej nocy. Antoni wstanie, oni go zapytają, czy nie widział podejrzanych, napiją się wódki i pojedą dalej.

Położyłem się na posłanej kanapie, lecz zasnąć nie mogłem. Co począć? a może to zasadzka? wstać i nocą uciekać? lecz dokąd, kiedy z miejscowością i okolicą nie jestem obeznany!? Niech się dzieje wola Boża, — westchnąłem sobie, opatrzyłem rewolwer — i pozostałem. W nocy stało się tak, jak pani zapowiedziała. Dopiero po oddaleniu się patrolu zasnąłem spokojnie.

Zrana odprowadził mnie lokaj przez ogrody ku granicy i wskazał przejście tuż przy krawędzi lasu, łączącego się z zagajeniem, należącym do Konar po pruskiej stronie. Dochodziłem już do krawędzi lasu, a tu pędzi po drodze wzdłuż granicy kilku kozaków. Mogłem przebiec im drogę i zdążyć za granicę, lecz w takim razie z pewnością by mnie gonili — i dogonili. Przycupnąłem więc przy miedzy czy w bruździe, udając jakoby pilnował dwie

krówki pasące się na zmarzłym kapuśniku. Dwóch chłopczaków swawolących dla rozgrzania się, pasło owe krówki. Kiedy kozacy byli już wprost pomiędzy mną a granicą, złośliwe chłopaki zaczęły krzyżeć: „a wej go powstaniec — a wej go powstaniec!” wskazując na mnie rękami. Widocznie moskale słów nie rozumieli, a mnie wzięli za pasącego krowy, popędzili bowiem dalej przez lasek. Dostałem się szczęśliwie do Baškowa, gdzie przesyłkę Nowakowi oddałem.

\*

\*

Od tego czasu nie widziałem Nowaka blisko przez dwa miesiące. Spotkałem go w Inowrocławiu. Przebywał w Łojewie i w Jaksicach. Od niego dowiedziałem się o mających nastąpić z wiosną nowych wyprawach z Poznańskiego i Prus Zachodnich do Kongresówki. Organizowali oddziały: Calher pod Brodnicą, Raczkowski pod Mogilnem, Kwiatkowski pod Strzelnem, dalej Gałęcki i inni. Ci panowie organizowali oddziały hałaśliwie, prawie jawnie, za pośrednictwem komisarzy, referentów i różnego kalibru narodowych wojażerów. Latały bryczki od dworu do dworu, radzono, sejmikowano, urzędników i wrzawy było wiele, lecz uczynku mało.

W porozumieniu z Raczkowskim i Kwiatkowskim organizował Nowak także oddział,



lecz na własną rękę, na przestrzeni od Wisły do Inowrocławia a od granicy | pod Szubin i Bydgoszcz. Sposób jego postępowania był jednakże zupełnie odmienny.

Mówiono o nim wiele, ochotnicy tylko pod niego iść chcieli, lecz nikt nie wiedział, prócz może inowrocławskich obywateli: Ad. Budzinskiego, Kaź. Czapli, Motylińskiego i kilku innych, czy on wogóle coś działa i czy w pole wyruszy.

Wybrał Nowak sobie kilku (6 czy 8) kapitanów, w różnych punktach stale działających, o sobie nie wiedzących, nadając im władzę nieograniczoną, każdemu wznaczonym okręgu. Prócz niego nikogo słuchać nie mieli, ani nawet tak zwanych komisarzów Rządu Narodowego, którego papierowe rozbitki intrygowały piórem i pieczęciami w Paryżu, ztamtąd krajem chcąc rządzić. Gdyby jaki cywilny organizator, komisarz czy agent w okręgu działalności jego miał się pokazać i sobie jakieś prawa wydawania rozkazów uzurpował, lub co więcej, zbierał pieniądze, polecił swym podwładnym takiego przepłoszyć, bez względu na środki, jakichby użyć wypadało. Widziałem tylko trzech z tych kapitanów. Do nich należał także Niemiec Jerka (Gehrke) z Gniewkowa, któremu porozumienie się z Nowakiem ułatwiłem. Jerka był dawnym wojskowym, liczącym wówczas już

55 lat, lecz nadzwyczaj ruchliwym, niesłychanie śmiałym i dzielnym rębaczem. Już w roku 31-ym, będąc elewem gorzelniczym w Lipiu, namówił kilku parobczaków i ruszył z nimi konno do listopadowego powstania. W roku 1863, rozdawszy majątek pomiędzy dzieci, nie miał co robić, dla tego może przystał do powstania z wrodzonej skłonności do życia ruchliwego, a może i z ambicyi, żeby o nim głośno mówiono.

Zbliżył się 21 marca, którego to dnia wszystkie sformowane w Księstwie i Prusach zachodnich oddziały miały równocześnie przejść granicę w zabór moskiewski. Dzień poprzednio byłem z Jerką w Inowrocławiu. Zoczył nas Adam Budziński, pierwszy obywatel miasta, klucznik wszystkich tajemnic na całą okolicę, i przywołał nas do pana Popławskiego.

Weszliśmy do osobnego pokoju, gdzie prócz Budzińskiego znajdował się tylko jeden obcy mężczyzna, krępy blondyn z długą hiszpanką. Zdawał się być energicznym i w owej chwili rozdrażnionym.

Budziński rzekł: Ci panowie muszą wiedzieć, gdzie Nowak.

— Pan pod komendą Nowaka? — zapytał obcy.

— Tak panie! — odrzekł Jerka, lecz proszę mi pierw powiedzieć, z kim mam zaszczyt mówić.

— O tem potem — mówił obcy, natomiast pierw proszę mi powiedzieć, z jakiego ramienia Nowak oddział formuje? czy słuha Breańskiego, czy Mierosławskiego, czy na własną rękę.

Jerka się zaperzył, wtem przerwał Budziński :

Do tego pana możesz Jerka mówić otwarcie.

— Co mnie się pytać o takie rzeczy? — odparł tenże rubasznie. — Ja partyi żadnych nie znam — jestem żołnierzem i słucham ślepo rozkazów mego przełożonego, który mi dał władzę i nominacją. Co on każe — spełnię.

— Bądź pan łaskaw pokazać mi nominacją, — rzekł obcy udobruchany. •

Jerka miał ją przy sobie i pokazał. Obcy zbadał ją, nic nie mówił, tylko wziął się rękami za głowę i zadumał — po chwili rzekł:

— Na miłość Boga i Ojczyzny, zaklinam was, powiedźcie mi, gdzie ten Nowak! Muszę z nim mówić osobiście. To jakiś groźny upiór. Słyszę o nim wszędzie szept, a nigdzie dopytać się o niego nie mogę. Panowie wierzcie mi — powiadam wam, wszystko już ukartowane i zdradzone. Ani Callier, ani Raczkowski, ani żaden inny, chociażby chcieli, granicy nie przejdą. Tylko Nowak, jak go sobie wyobrażam, może sytuacją ratować. Jest broń,

są liczni ochotnicy landwerzyści, rekruci, którzy zamiast do Danii wolą iść na Moskala — a niema naczelnika! Ułatwicie mi panowie porozumienie z Nowakiem — ja was z nim poprowadzę.

Zaden z nas nie wiedział, gdzie się w owej chwili znajdował. Budziński kazał mi go odszukać. Jerka odjechał do domu. Było południe.

Spieszyłem po furmankę na przedmieście, a tu obywatel Gacki ciągnie mnie do siebie szepce:

— Nowak chce z tobą mówić.

Zaprowadził mnie Gacki do tylnego pokoju. Nowak rozmawiał z kilku młodymi gospodarzami i z dwoma w mundurach, którzy niezawodnie jako rezerwiści do wojska byli ściągnięci. Zoczywszy mnie, uściskał każdemu z nich rękę, i rzekł tylko: do widzenia, chłopcy! — mnie zaś skinął do górnej stancyi studentów, będących na lekcyi. Tam wyjął z kieszeni dwa listy.

— Słuchaj uważnie, co powiem, — przemówił do mnie. — Pospieszysz natychmiast do Gniewkowa i oddasz Jerce bezwzględnie ten oto list. To rozkaz. Dziś jeszcze wyruszycie. Ludzi, których ma pod ręką, zgromadzi na zachodniej stronie miasta. Gdyby gromadził ludzi z innej strony, powiesz Bukowskiemu i Walickiemu, żeby spełnili mój rozkaz. Kiedy już

będziecie na punkcie zbornym, oddasz Jerce ten drugi list i pilnie zważać będziesz, w którą was poprowadzi stronę. Pójdziecie na zachód, a gdyby Jerka was w inną stronę prowadził, szepniesz Bukowskiemu: źle, bo do Jaksic. Tam spytasz o Wojciecha. Rozumiesz?

— Rozumiem, — odrzekłem, — odrzekłem, lecz dreszcze mnie przeszły, spojrzawszy Nowakowi w oczy.

Wspomniałem mu o spotkaniu u pana Popławskiego. Machnął ręką, mówiąc: wiem już o tem, dla tego cofam się od granicy w głąb kraju — gdzie swobodnie można oddział zorganizować. A pozwoli Bóg przebić się do granicy, damy sobie radę. Po drodze zagarniemy ze sobą rozbitków, za granicą ludzie z rozpuszczonych obozów się znajdują. Główna rzecz: zachować tajemnicę, żeby pruska władza o naszym zbieraniu się i o kierunku, jaki obierzemy, nic się nie dowiedziała. Czekają nas silne i ryzykowne marsze, lecz tylko śmiało, to pójdzie — prusacy wcale się nie spostrzegą! Pierwszy oddział musi od razu wdrzeć się w głąb Kongresówki, chłopci na tyłach na pograniczu zaraz hurmem powstaną, jak mnie zapewniają, a ztąd przyplływ ochotnika i pruskich żołnierzy będzie znaczny. Oficerzy się znajdują, ludzie zdolni do urzędów przybędą z emigracyi, utworzymy po wytrzymaniu pierwszego impetu rząd jawny, aby cały naród wiedział kogo słuchać.

Na krnąbrnych i wichrzycieli będzie rada. A teraz milcz i spiesz z rozkazem.

O czwartej godzinie po południu doręczyłem Jerce rozkaz. Zatrwożył go pospiech wymarszu — i nie dziw, ponieważ było niepodobieństwem, żeby np. Wł. Czarnecki z ochotnikami od Opok, i inni od Brudni i Chlewisk mogli o dwie mile się cofać i na czas się stawić. Nawet z pobliskich wsi ściągać ochotników nie było czasu. Obesłał jednakże orędzie, sam siadł na koń w pełnym uzbrojeniu, a gdyśmy się zeszli i porachowali, było nas chłopów tylko 57 ze samego miasteczka, oprócz kilku młodzieży, sami landwerzyści. A było zmówionych do dwustu chłopów, lecz po większej części w domu ich nie zastano. Z tymi miał Hankiewicz, po otrzymanej wieści o przejściu granicy, za nami podążyć.

Na punkcie zbornym, pod folwarczkiem ob. P... doręczyłem Jerce drugi rozkaz. Przeczytał go przy świecy, zwołał nas kilku i rzekł: dziwny ordre-du-jour! Nasz naczelnik rozkazuje mi pod zagrożeniem stryczka cofać się w głąb kraju i doprowadzić was szczęśliwie do Jaksic. Sądziłem, że będziemy organizować się w przyległych lasach. Trudna rada — on musi wiedzieć najlepiej co czyni — dalej w marsz! Rozkaz był dobry. W kilka minut, na lamentowanie kobiet, kilka oddziałów wojska, zało-

gującego w miasteczku, puściło się za nami w pogoń ku granicy na wschód, kiedyśmy szli na zachód po kanale rojewskim. Od Liszkowa skręciliśmy ku Jaksicom. Pod samą wsią zatrzymał nas Jerka w małej kotlinie, wysyłając mnie na zwiady. Zastałem Nowaka w domu Wojciecha, jego brata, zaraz nad szosą. Bartek wyglądał oknem, ubrany w kożuszek. Przemówił tylko: jesteście? tak późno! — i zaraz wyszedł ze mną. Na szosie zeskoczył do niego z bryczki jakiś jegomość z czarnym zawieszistym wąsem, twarzy chudej i śniadej, salutował go po wojskowemu, raportując: jesteśmy na miejscu.

— Dobrze! stać tak długo, dopóki nie przybędę! — a bądź Pan przezorny, nikogo nie wypuszczać. — To mówiąc uściśnął obcemu rękę i poszliśmy dalej.

Na łączce zastaliśmy ludzi bez Jerki. Na pytanie, gdzie się podział, odpowiedzieli panowie Jakiński i Michalski (teraz jeden dziedzic drugi aptekarz), że spostrzegli dwie osoby na tle białych ścian dworskiej stodoły i myśleli, że to my. Jerka pokłusował naprzód salutować przełożonego, im kazał zachować się cicho. Przeszliśmy w największej ciszy przez szosę bydgoską, prowadzeni przez Nowaka ukośnie na gospodarstwo Kosiaka. Kiedyśmy mieli wychodzić na drogę wiejską, przybiegł stróż do Nowaka, szepcząc mu, że pruskie wojsko przed pańskim

dworem. Ten spytał mnie, czy mam bystre oko i kazał mi patrzeć w tę stronę, czy kogo nie widzę. Nikogo nie widziałem w ciemnościach.

— To i oni nas nie widzą! mruknawszy, kazał nam z największym spokojem przejść na drugą stronę przez drogę. W tem przylatuje od Tuczna drugi chłop, czy po chłopsku ubrany i szepce Nowakowi: — oddział stoi już w miejscu, ale w Tucznie pruskie wojsko! Co mamy zrobić?

Na chwilę Bartek się zawahał. Potem posłańcowi polecił, żeby oddział pozostał za jeziorem w chębach do dalszych rozkazów. Poprowadził nas dalej, lecz kierunek zmienił. Po drodze biadał do mnie i jeszcze do kogoś:

— Fatalne położenie. Nie pojmuję co tu wojsko ma do czynienia?

Po chwili rzekł z trwogą.

— Teraz wiem. — Stanie się nieszczęście. Pan Balcer z Kościelca wiezie znaczny transport broni dla mnie z Bydgoszczy. Żeby tę broń pochwyć, zaległo wojsko trakty. Inaczej być nie może. Oj! przekłete zdrajcy!

Doprowadził nas do Radłówka pod sam nos wojska, gdzieśmy po trudach w owczarni się rozpostarli. Jakińskiemu zdał władzę, inny rozstawiał czaty, których miał dopilnować. Nakazał nam spokój, obiecując wkrótce powró-



cić, lub przysłać kogoś, co nas dalej powiedzie. Mnie wywołał i zapowiedział mi, abym za nim powrócił do Jaksic, gdybyśmy przez dwie godziny żadnych od niego nie mieli wieści.

Upłynął czas naznaczony, dzień się zbliżał, do nas nikt nie przychodził. Ludzie zaczęli się niepokoić. Pospieszyłem do Jaksic, gdzie wstąpiłem zaraz do pierwszego gospodarza Szczukowskiego.

Ten mi powiada, że Bartek i Jerka przyaresztowani siedzą związani na wozie przed szkołą. Przywdziałem sukmanę i pobiegłem o tem się przekonać. Miałem nadzieję zbliżyć się do Nowaka i dowiedzieć się od niego, dokąd oddziałki mają dalej podążać. Stwierdziłem tylko fakt, że już obaj pod dobrą strażą, lecz zbliżyć się do woza żołnierze mi nie dozwolili. Jak się to stało?

Rozgłaszano później wiele o zdradzie Jerki. To były oszczerstwa pokątnych nietoperzy, puszczane w świat umyślnie. Ten człowiek, chociaż Niemiec, nie zdradził, bo prócz siebie nic i nikogo zdradzić nie mógł. Rzecz tak się miała.

Wojsko z Inowrocławia zaległo trakty prowadzące z Bydgoszczy. li tylko wskutek nadeszłej denuncyacji o transporcie broni. Tej denuncyacji dopuścił się uczonej kupiectwa Me...

zamieszkały w Bydgoszczy agent do ekspedycyowania broni.

Na swej nieszczemności patryotycznej zrobił on nawet wielki majątek, ponieważ w rachunkach liczył sobie od transportu każdej sztuki broni z Bydgoszczy ku granicy po trzy marki, a nie nikomu nie płacił, nawet fornalom dawał tylko skąpe piwne. Jakoż tego wieczora pan Balcer z Kościelca został w istocie z transportem broni na kilku fornalkach schwycony.

Jerkę przyaresztowano przypadkowo. W mniemaniu, że dojrzał Nowaka, popędził konno naprzód, by mu salutować i wpadł na czaty wojska, które dopiero co przybyło. Żołnierze go pochwycili, a widząc uzbrojonego, z konia zwlekli. Stawiony przed kapitanem znajomego, bo ten stał u niego poprzednio kwaterą, jako niemiec wytłómaczył się snadno, że jedzie konno do krewnych, a zbrojno dla tego, aby w tych niespokojnych czasach miał się czem bronić w razie napaści przez jaką bandę. Kapitanowi dziwnem się to wprawdzie wydało, lecz uwierzyć musiał.

Zatrzymał jednakże dla ostrożności Jerkę przy sobie, nawet go nie rozbroiwszy, żeby w Inowrocławiu się wytłómaczył.

Nowak znów, z powrotem do Jaksic, usłyszał sygnał piszczałki na ogrodach i podążył w tę stronę. będąc mniemania, że to Jerka się

bląka. Tym czasem były to zdradzieckie sygnały żołnierzy. Wszedłszy na nich, jako podejrzany o tej porze wędrowiec, został aresztowany. Przeprowadzony do kapitana, wywinął się, na zaręczenie stróża, że „to Nowak z tej oto chałupy.“ — Tak on jak i Jerka udali, jakoby się wcale nie znali. Ostatni skinął nawet Nowakowi, iż da sobie radę i za nim podąży.

Nowak, powróciwszy w dom brata, miał natychmiast udać się dalej. Już też świtało. Wojsko szykowało się do pochodu. Spojrzawszy przez okno, spostrzegł żandarma Kubickiego, spieszącego, co koń wyskoczy, z depeszą do kapitana. Zaciekawiony coby to być mogło, obserwował wojsko, w którą stronę pociągnie. Tymczasem denuncyacya zawierała depeszę z góry udzieloną, że niejaki Nowak z Polski, rodem z Jaksic i tam się u brata niezawodnie utrzymujący, organizuje prawdopodobnie w tej okolicy oddział powstańczy. Była i druga wiadomość, że Jerka, jego podkomendny, wyruszył już z Gniewkowa ku granicy, przez pościg wojska niedogoniony.

Teraz dopiero zwrócił się kapitan zdziwiony do Jerki, dał go, rozbroić i związać, a przypomniawszy sobie co dopiero puszczonego na wolność Nowaka, kazał żołnierzom w lot zabudowania jego brata osaczyć. Nowak próbował ucieczki zapóźno. Obaj aresztańci zostali do

inowrocławskiego więzienia dostawieni. Połów onych był więc wcale niespodziany i przypadkowy.

Obaj oskarżeni o zdradę stanu i do Moabit w Berlinie odstawieni, przesiedzieli tam w śledztwie, Jerka siedm, a Nowak dziewięć miesięcy. Władze śledcze stawiały sobie pytanie, czy to możebnem, żeby chłop mógł być niebezpiecznym naczelnikiem powstania. Przywołani wojskowi jako znawcy oglądali Nowaka, niby jakiego niedźwiedzia na wszystkie strony, wydając orzeczenia potwierdzające.

We więzieniu zapoznał się on z wielu oficerami, którzy wyszedłszy na emigracyą, przez długie lata z nim korespondowali.

W czasie śledztwa, gdy się wszelkiego współnictwa z naczelnikami powstania wypierał, dał mu jako dowód, sędzia śledczy do czytania denuncyacye na niego pisane. W dziesięć lat później, gdy się z nim widziałem, opowiadał mi, że owe denuncyacye, w najdrobniejszych szczegółach ruch powstańczy omawiające, pisane były z góry, przez dwóch Jaśnie panów kujawskich w komitecie zasiadających. Pisywali nawet do władz moskiewskich jako dowód przytoczę fakt, że jednemu z ich kuyerów, ks. G., gdy się upił w Inowrocławiu taką depezę odebrano, i ona do dziś dnia, jako dowód, upodlenia wyższych

sfer naszej społeczności, istnieje i świadkowie żyją.

Nowakowi przytoczano w śledztwie nawet wyrazy, których on używał w małym kółku zaufanych. I tak np. w Strzemkowie u pana Trzebińskiego, rozmawiało tylko cztery osoby w pokoju, w którym nikt podsłuchać ich nie mógł. Był tam tylko dziedzic, Nowak, jego brat i jeden obcy emigrant z Kongresówki nazwiskiem Kar...

— Pan z nami także wyruszy — rzekł Nowak do obcego.

— Ino idźcie naprzód i Moskali poskromcie to i ja znajdę się tam potem, — odrzekł tenże.

— A tak! — zauważył Nowak, — do pełnej miski pan zasięć gotowy — lecz przy gotowaniu kaszy nie chcesz sobie palców poparzyć. Nie będzie wyjątków, do szeregu każdy stanąć musi; zbiegów z kraju czeka proscrypcya i konfiskata ich majątku.

To wyrażenie się i pogrózkę, oraz gdzie to było, przytoczył sędzia śledczy słowo w słowo. Ponieważ ani brat, ani dziedzic znany z prawości charakteru uczynić tego nie byli zdolni, mógł się owej denuncyacji dopuścić tylko ów uciekinier z Kongresówki, objadający później komitety dobroczynności na bruku paryzkim.

\*

\*

\*

Po każdej narodowej porażce stara się zwykle najbrudniejsza reakcja okiełznać społeczeństwo. Najnędnieszego gatunku materyaliści, tacy, co to się naprzód cieszyli, że gdy kwiat młodzieży w walce o dobro całego narodu z Moskałem wyginie, to panny spadną w cenie, a wtenczas łatwiej im będzie dostać którą z wielkim posagiem, (sic) zaczęli zaraz po powstaniu zuchwale łby podnosić, bryzgając najbezczelniej śliną jadu na tych wszystkich, którzy się poświęcili za ojczyznę, a której oni już się zaparli. Takie to drapieżne zwierzęta, gotowe tuczyć się trupami na narodowym cmentarzu, umysłowo za-ograniczone i za ślepe, by dostrzedz snującą się nić dziejowych wypadków, i doniosłość tych wypadków pojąć i ocenić, skolicowane między sobą jedną żądzą, by kłamstwem i podstępem sięgać po cudzą własność, wzięły się zaraz po powstaniu do obrzucania błotem uczestników ostatniego ruchu narodowego.

Calliera przedstawiano jako kalabreżę, grywającego w karty za kradzione damom zegarki, o Raczkowskim rozgłoszono, że skradł 12,000 talarów, z temi uciekł oknem z pałacu w Kościelcu (niewiadomo czy tam był) i drapnął do Paryża. O innych już nie mówię, boby litania była za długa.

Wypuszczenemu z więzienia Nowakow

gorzko było słuchać takie zarzuty, głoszone o mężach, których znał i cenił. Jakże serce jego się rozradowało, gdy dochodząc sprawy dociekł, że to brudne oszczerstwa. Wyśledził on, że owe 12,000 talarów narodowego funduszu wcale nie zostały skradzione, lecz nocną porą przyniesione przez młodego dziedzica ze sąsiedztwado zagrodnika na Cieślińskich chubach, i tam do ukrycia pozostawione, aby się nie dostały w ręce władz pruskich. Zagadkowy to i bardzo dziwny postępek, trudno bowiem pojąć, jak mogła tak wielka kwota pieniędzy być bezpieczniejszą u chałupnika na 6 morgach, niż w pałacu magnata, gdzieby najmniejszego nie wzbudzała podejrzenia. Wiemy zresztą, że przecież władze pruskie nigdy do szkatuł jaśnie panów nie zaglądały.

O tym wypadku Nowak dał znać członkom komisji obrachunkowej na emigracyi. Zjawił się tam i hr. N. N. jako *reprezentant polskiego Narodu* i oskarżyciel. Przypomniano mu fundusz narodowy, (60,000 rubli) przeznaczony na broń, a przez niego i Spółkę przegrany w Ilomburgu w ruletę. — może umyślnie, żeby powstańcy walczyli *golami od pługa rękami*. Pan hrabia odjechał z długim nosem.

Wspomniany wyżej fundusz był u zagrodnika, który w krótkce potem przeniósł się nad

Gopło, przez lat kilka w schowaniu, a gdy miał być w banku zagranicznym jako fundusz żelazny, do którego nikt nie miał prawa, na przyszłe prace narodowe ulokowany. przybyli do owego gospodarza dwaj jaśni panowie i pieniądze odebrali bez kwitu — mówiąc mu: jak bez kwitu pieniądze były ci powierzone, tak bez kwitu je odbieramy. Nie ma powodów, żeby owemu gospodarzowi nie wierzyć. W każdym razie kto tu złodziejem funduszu narodowego? — przecież nie pułkownik Raczkowski!

Nie mogąc powracać do rodziny pozostał Nowak w Poznańskim lat kilka spełniając obowiązki rządcy gospodarczego. Będąc w Tarkowie, dziedzie jego Kr. szewski, pan zacny, szanujący Nowaka jak brata, wniósł przy stole w obec wielu gości toast na jego zdrowie. Podniósł kielich w górę tylko gospodarz domu, a reszta szlagonów, herbu de *prawo kaduko*, wzięła sobie za obrazę, by uczcić młodszego brata, niedoszłego herszta powstania.


Został on nawet przez braci Dąbków, szlachtę wywodzącą ród swój z owezarcha w Dobiesławicach, czynnie sponiewierany, o czem swego czasu pisano z odrazą i w zagranicznych gazetach.



Zatęsknił w końcu Nowak do rodziny i powrócił cichaczem do Kongresówki. Już wiekiem przyciśniony, zdawszy poprzednio gospodarstwo na pasierba Grzonkę, wójta okręgu bątkowskiego, okupił się na Adolfinie, gdzie też życia dokonał. Pochowany w Byczynie na Kujawach.

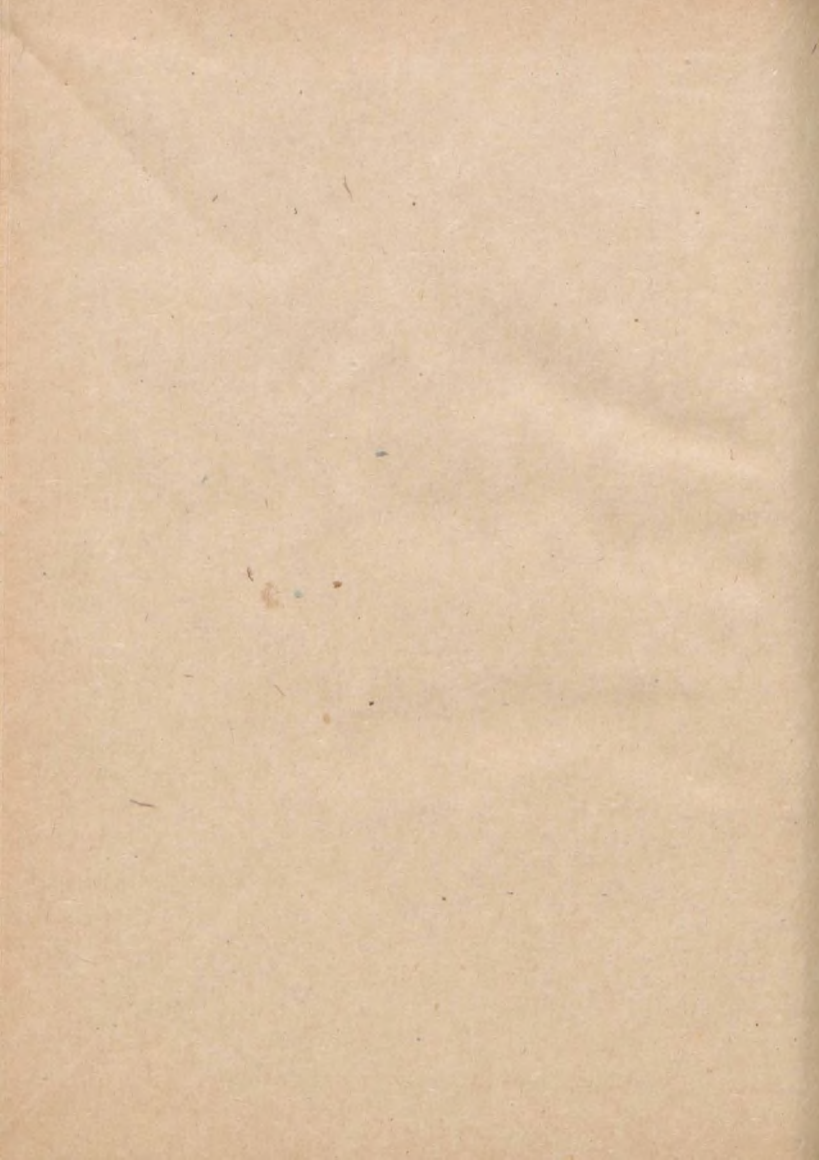
Niech mu ziemia, którą ukochał, będzie lekką.

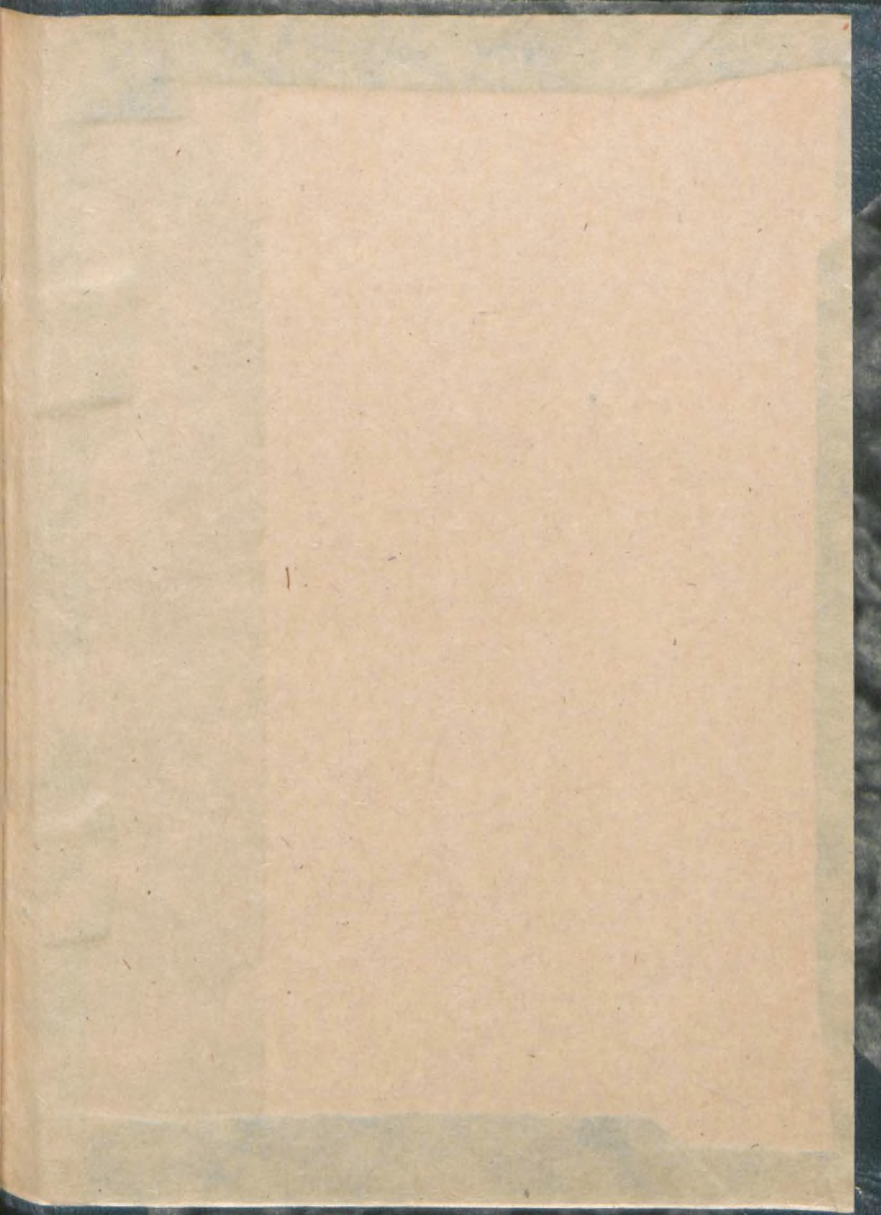
Wojewódzka  
Biblioteka  
Publiczna  
w  
Poznaniu











WOJEWODZKA BIBLIOTEKA  
PUBLICZNA W POZNANIU

2322



000-002322-00-0